Nr. 150. Lwów — Wtorek dnia 5 Lipca. Rok 189

Wychodzi w dni powszednie o godzinie 3 po południu z datą dnia następnego.

NUMER KOSZTUJE
we Lwowie . . . . . 4 ct.
na prowincyi . . . . . 6 „
Numera z poprzednich dni po 10 ct.

Wszelkie „Doniesienia prywatne“ jakoto o zaręczynach, ślubach, weselach, nabożeństwach żałobnych, pogrzebach, wszelkie nekrologi, episy uczt i zabaw prywatnych, wszelkie reklamy dla balów, odczytów i koncertów, wszelkie spisy składek, doniesienia o zgubach lub o znalezionych przedmiotach i t. d. i t. d. po 50 centów od wiersza.

PRZEGLĄD
POLITYCZNY, SPOLECZNY I LITERACKI.

[illegible]
Za zmianę adresu dopłaca się 20 ct. Opłatę należy uiścić równocześnie z żądaniem zmiany adresu.
Ceny ogłoszeń: Zwyczajne ogłoszenia na czwartej stronicy [illegible]
Nadesłane na trzeciej stronicy: [illegible] Nekrologia [illegible] Ogłoszenia do Przeglądu przyjmuje „BIURO [illegible]KÓW“ ul. Karola Ludwika l. 6. [illegible]

Dziś: Wt. | św. Filemony P. | Ahrypiny
Jutro: Śr. | św. Izajasza Pr. | Rożd. św. Joana
Adres Redakcyi i Administracyi Ulica Sykstuska l. 45.
Naczelny Redaktor i Wydawca: *LUDWIK MASŁOWSKI.*
Wschód słońca o g. 4 m. 13. Zachód „ 7 „ 55
Długość dnia g. 15 m. 42. Ubyło dnia od wczoraj 2 m.

Akcya obywatelska.

Znane wypadki w zachodnich powiatach naszego kraju wskazały istnienie jakiegoś niedomagania, którego oczywiście nie usunie z naszego organizmu stan wyjątkowy. Stłumił on wybryki, powstrzymał zdrożną agitacyę, uspokoił wzburzone nerwy wiejskiego i robotniczego ludu, słowem zatamował rozwój choroby, ale usunąć jej naturalnie nie jest w stanie. Stan wyjątkowy, jak to wskazuje sama jego nazwa, jest nienormalny i bez szkody dla prawidłowego trybu życia długo trwać nie może. Jesteśmy też przekonani, że będzie zniesiony natychmiast, skoro tylko przeminie proces zapalny, a wówczas, jeżeli nic więcej się nie uczyni, któż zdoła zapewnić, że zaburzenia znowu nie wybuchną i to z siłą może jeszcze większą? Trzeba tedy bez zwłoki zastanowić się nad pochodzeniem znanych wypadków, gruntownie zbadać wszystkie ich przyczyny, dowiedzieć się, o ile one powstały z podszeptów ludzi, potrzebujących dla siebie mętnej wody, a o ile z jakiegoś wykolejenia się ekonomicznych, czy może społecznych stosunków. Do tych badań trzeba przystąpić bez żadnego uprzedzenia i z góry nie wytwarzać w sobie żadnych punktów widzenia, aby uniknąć szkodliwej jednostronności, którą już chcą narzucić społeczeństwu ci, co są bardzo nieradzi z energicznego wystąpienia władzy. Od początku smutnych wypadków, które boleśnie zakłóciły spokój w naszym kraju, i kosztowały życia kilkunastu ludzi, wzywaliśmy odpowiednie czynniki do zbadania, ażali nie ma poważnych przyczyn zaburzenia, a równocześnie do wyszukania agitatorów, poznania sposobów, jakimi oni działali, i celów, do których zmierzali. Głównie jednak chodzi o wyszukanie środków zaradczych na chorobę społeczną, czy ekonomiczną, jeżeli ona istnieje, a przedewszystkiem o poznanie, czy jest taka choroba. Tę samą myśl wypowiada znany poseł włościański i znawca życia chłopskiego p. Teofil Merunowicz Domaga się on „akcyi pacyfikacyjnej“, która nie powinna być jednostronną, powierzchowną. Trzeba ją — pisze szanowny poseł — „oprzeć na gruntownem zbadaniu natury i przyczyny tej choroby społecznej, która aż do podobnych anormalnych objawów doprowadziła. Społeczeństwo całe powinno dbać o to, ażeby nietylko ekscesy były stłumione, ale ażeby wykryte były także źródła owych ekscesów, ich prawdziwi sprawcy, ażeby przedmiotowo, bezstronnie, ale też i wszechstronnie przeprowadzona była dyagnoza tych niezdrowych stosunków, które stanowią powód owych pożałowania godnych wypadków. Któż ma tę dyagnozę przeprowadzić? Mojem zdaniem jest to obowiązkiem władz autonomicznych. Wydział krajowy powinien, jak sądzę, powziąć inicyatywę w tej sprawie, i bezzwłocznie zaprosić delegatów wydziałów powiatowych z okolic, dotkniętych rozruchami, tudzież grono innych osobistości z rozmaitych stronnictw i warstw ludności, obznajomionych ze stosunkami i usposobieniami różnych warstw ludności kraju, dla wyświecenia powodów rozruchów ludowych w zachodniej części kraju i wskazania środków trwałej pacyfikacyi wzburzonych mas — pacyfikacyi dobrowolnej, szczerej, płynącej z przekonania. Chować się za żandarmów i wojsko w takiej chwili groźnej, kiedy połowę kraju niemal ogarnia pożar buntu społecznego, byłoby i haniebnie i nierozumnie. Potrzeba mieć odwagę zapuścić sondę w owe rany otwarte, potrzeba okazać dość siły moralnej ku temu, ażeby ową budzącą się energię mas ludowych, która obecnie zużywa się ze szkodą kraju w bezmyślnych gwałtach i rozruchach, skierować na drogę rozumnie obmyślanej, spokojnej pracy organicznej dla dobra własnego i dla dobra kraju!... Same tylko raporta posterunków żandarmskich i sprawozdania starostów, pisane w pośpiechu, pod bezpośrednim wrażeniem doniesień o rozruchach, nie mogą dokładnie wyświecić tego objawu różnych chorób, tkwiących w głębi naszego organizmu społecznego. Powołani do leczenia tych chorób lekarze powinni wejrzeć głębiej...“

Lekarzami powołanymi do leczenia tych chorób, ludźmi, którzy powinni „wejrzeć w nie głębiej“, jesteśmy my sami, — całe nasze społeczeństwo, którego przedstawicielem Sejm i jego stała komisya, nazywająca się Wydziałem krajowym. Słusznie tedy p. Merunowicz wzywa go do inicyatywy.

Jest doniesienie, że p. Marszałek krajowy „niebawem zwoła ankietę z wszystkich prezesów rad powiatowych celem naradzenia się nad sytuacyą w kraju, której wyrazem jest zaprowadzenie sądów doraźnych i stanu wyjątkowego“. Sądzimy, że to doniesienie jest mylne. Nie ma co radzić nad sytuacyą wywołaną zaprowadzeniem sądów doraźnych i stanu wyjątkowego. Trzeba radzić nad przyczynami, które doprowadziły do tej sytuacyi i nad usunięciem tych przyczyn. To będzie „akcya pacyfikacyjna“, jak ją nazywa p. Merunowicz, — akcya kuracyjna, prawdziwie obywatelska — konieczna, jeżeli chcemy być zdrowi i sami sobą rządzić.

Przegląd polityczny.

Lwów 4 lipca.

Szczucie prasy niemieckiej przeciw Zjazdowi polskich przyrodników w Poznaniu rozwinęło się na ogromną skalę. Donieśliśmy w poprzednim numerze, że dzienniki berlińskie ogłosiły jakieś „orędzie“, wystosowane przez kogoś do lekarzy czeskich, aby w imię solidarności słowiańskiej udali się na Zjazd do Poznania. Dziś dowiadujemy się, że we wszystkich junkierskich i liberalnych dziennikach na całym obszarze cesarstwa niemieckiego pojawiło się to „orędzie“ jednocześnie i w jednakowem tłómaczeniu. W tem dowód, że było ono rozesłane dziennikom przez jakąś instytucyę, najpewniej przez dyrekcyę hakaty. Naturalnie, każdy dziennik zaopatrzył „orędzie“ w swoje uwagi, a wszystkie one są mniej więcej parafrazą znanego wystąpienia bismarkowskich *Hamb. Nachrichten*, które w Zjeździe przyrodników upatrzyły jedną z dążności od oderwania Wielkopolski od Prus. Są jednak uwagi innego rodzaju. I tak *Posener Ztg.* domaga się od rządu, aby wręcz zakazał Zjazdu dlatego, że choćby on nie był polityczną demonstracyą, to jednak już denerwuje Niemców, a wszystko, co kogoś niepokoi, powinno być usuwane w dzisiejszych czasach, pełnych elektryczności. Liberalna *Gazeta Kolońska* sądzi, że Zjazd może się odbyć, ale bez udziału osób nieposiadających pruskiego obywatelstwa. „Nie wątpimy — woła ten herold liberalizmu — że skoro na granicy cesarstwa niemieckiego stanie osoba niepruska z zamiarem udania się na Zjazd poznański, natychmiast otrzyma ona wyraźną wskazówkę, iż obecność jej jest zupełnie zbyteczna i że pozostaje jej tylko u siebie w domu uprawiać hecę antyniemiecką. Ponieważ jesteśmy przekonani, że tak się stanie, przeto panowie lekarze galicyjscy i czescy najlepiej zrobią, jeżeli nie będą się fatygowali na podróż ku granicy“.

To szczucie przeciw Zjazdowi przyrodników polskich w Poznaniu jest zupełnie bezpodstawne. Przejrzeliśmy bardzo dokładnie cały program Zjazdu i przekonaliśmy się, że nie daje on żadnego powodu do obaw niemieckich. Wszystkie referaty odnoszą się ściśle do medycyny lub nauk przyrodniczych, a że nauka niemiecka pominiętą na Zjeździe nie będzie, wynika stąd, że znany dr. E Flatau z Berlina wygłosi wykład „O najnowszych poglądach na budowę układu nerwowego“. Co więcej, dowiadujemy się, że nawet na wspólnym obiedzie, którym jak zwykle, zakończy się Zjazd, wszystkie mowy poddane zostaną ściślej cenzurze komitetu. Nie mają tedy Niemcy powodu do zaniepokojenia. Rozum zdrowy, rozum polityczny, takt osób, zajmujących się urządzeniem Zjazdu, daje rękojmię, że się on odbędzie ściśle wedle programu.

Zresztą wcale nie potrzebujemy traktować antyniemieckiej polityki aż na zjazdach lekarskich i przyrodniczych, bo nawet gdyby się znalazły u nas żywioły dość nierozsądne pod tym względem, musiałyby one sobie powiedzieć, że już dlatego nie potrzeba nam mięszać tych spraw, iż najlepszą politykę antyniemiecką prowadzą — sami hakatyści i koła ulegające ich wpływom.

Do czynników tej polityki należą i zbyteczne obawy, któremi sobie niepotrzebnie zaprzątają głowy pisarze niemieccy tworzący chór hakatystyczny. Przeszkodzić temu nie możemy, więc patrzymy tylko z ubolewaniem, jak każdy najdrobniejszy objaw naszej pracy i żywotności wzbudza u ludzi złego sumienia obawy, kompromitujące Niemców.

Było do przewidzenia, że reklamowana od pewnego czasu „solidarność słowiańska“ w imię pokrewieństwa plemiennego, nie zaś imię wspólnych interesów politycznych w obrębie państwa austryackiego, nie podoba się rządowi petersburskiemu, który ma tyle ważnych spraw w Azyi, że nie może narażać na szwank swych dobrych stosunków z Austryą i Niemcami. Od lat paru słynny Komitet Błagotworitielny jest skazany na bezczynność, co najlepiej wskazuje, iż Rosya nie chce teraz potrącać o słowiańskie struny. Propagatorowie polityki, wypływającej z plemiennego pokrewieństwa Słowian, przeoczyli to wycofanie się Rosyi z panslawizmu i daremnie potrącali o niego w Pradze podczas uroczystości Palacky'ego. Szkoda, że za późno, jak musztardę po obiedzie, daje im teraz prasa rosyjska stosowną naukę. Ale zawsze jest ona ciekawa. Nie będziemy powtarzali uwag wszystkich dzienników, bo wystarczy zanotować to, co podały dwa najważniejsze.

Nowoje Wremia wspomniało, że „zabłąkali się“ do Pragi i Polacy; o ich pobycie tam podało zjadliwą relacyę *Hałyczanina* i dodało, że „gdyby ucisk niemiecki nie wiedzieć jak doskwierał Polakom w Poznańskiem, oni nigdy nie pójdą ręka w rękę ze Słowianami — to trzeba wiedzieć“. Dalej zaś pisze ten dziennik: „Stał się w Pradze rzadki wypadek: Dziennikarzowi rosyjskiemu udało się zrobić trochę hałasu, dajmy na to, że nie w całej Europie, lecz zawsze hałasu wśród Niemców austryackich, za którymi, jak ostrzega *Ostdeutsche Rundschau*, stoi cały świat niemiecki. Dla prasy rosyjskiej może być tylko rzeczą przyjemną i zaszczytną, iż za granicą zwrócono tyle uwagi na słowa dziennikarza rosyjskiego. Jednakże, zdaje się, że i rozmiary hałasu całkiem przekroczyły jego przyczynę, i że w ogóle po prostu zaszło nieporozumienie ze strony niemieckiej: wiele hałasu o nic. W mowie Komarowa na uroczystościach Palacky'ego Niemcy najwidoczniej zwrócili uwagę nie tyle na treść mowy, ile raczej na mundur mówcy. Chwała Bogu, już tak dawno wojowaliśmy z Niemcami, iż dziennikarze niemieccy teraz niedokładnie odróżniają mundury rosyjskie; powstało ztąd widocznie nieporozumienie. Dymisyonowany pułkownik Komarow, wydawca *Swietu*, członek rady miejskiej petersburskiej, osoba prywatna i pod żadnym względem nieurzędowa, w wyobraźni publicystów niemieckich stał się jenerałem rosyjskim. Słowem, wynikło nieporozumienie najzupełniejsze: był to mundur dymisyonowanego pułkownika i była to mowa także pułkownika dymisyonowanego. Oglądane przez pryzmat trzeźwej opinii, mowy delegatów rosyjskich na uroczystościach Palacky'ego wydają się, jeżeli już nie zupełnie chybionemi, to w każdym razie są niewinnemi próbami sztuki krasomówczej. Przemawiano w imieniu własnem i pod wpływem nadmiaru uczuć bankietowych. Podczas tej uroczystości Rosyanie uczynili niejako małą próbę współczesnej mowy rosyjskiej, cywilnej, nieurzędowej, posiadającej tak mało doświadczenia. Lecz nawet i w Rosyi nie wszystkich zadowoliła ta próba, w czem znowu nie ma wcale nic dziwnego.“

Drugi bardzo wpływowy dziennik *Petersburskija Wiedomości* jeszcze wyraźniej wymówił się w imieniu Rosyi od gry w solidarność słowiańską. Oto jego słowa:

„Musimy przyznać, że idea solidarności słowiańskiej do tej chwili jest bardzo wątła; nie przeniknęła ona jeszcze do mas i jest własnością bardzo niewielu ludzi, przyczem jedni z nich są teoretykami, których działalność nie ma żadnego praktycznego znaczenia, a inni korzystają z solidarności słowiańskiej dla swych osobistych, częstokroć zyskownych celów; i gdy jest popyt na panslawizm, to oni udają propagatorów idei słowiańskiej i zuchwale odważają się mówić w imieniu całego społeczeństwa, które nie myślało wcale o daniu im pełnomocnictwa. Jeżeli działalność teoretyków jest przeważnie niepłodna, można mimo tego nazwać ją sympatyczną, bo pochodząc z czystego źródła, nie szkodzi sprawie słowiańskiej, natomiast nieproszone mieszanie się owych wyzyskiwaczy idei jest szkodliwe, bo podkopuje ufność do sprawy, a w każdym razie nie posuwa jej ani krok naprzód. Nasze społeczeństwo po dziś dzień ma jak najmętniejsze pojęcie o świecie słowiańskim“.

A zatem „wujaszek“ odmawia poparcia. To jest bardzo dobrze i o tem powinni wiedzieć austryaccy Słowianie i pamiętać, że brzydki zwyczaj rzucania spojrzeń za granice państwa na nic się nie przyda. Pod Grunwaldem nigdy nie byli Rosyanie (choć inaczej twierdzi p. Komarów) i nigdy pod nim nie będą, jeżeli on się powtórzy, co zresztą należy do nieprawdopodobieństw.

Zarówno urzędowe jak i prywatne depesze amerykańskie stwierdzają, że piątkowa bitwa pod murami Sant Jago była nadzwyczaj morderczą. Wódz amerykański, jenerał Schafter sam przyznaje, że straty jego armii w zabitych i rannych wynoszą z górą 1.000 ludzi. W depeszy, wysłanej do departamentu wojennego w piątek w nocy, zaraz po bitwie, doniósł Shafter, że straty jego wynoszą prawdopodobnie około 400 ludzi, że żołnierze jego bili się znakomicie i zajęli zewnętrzne fortyfikacye i że on znajduje się już tylko w odległości jednej mili angielskiej od Sant Jago. Nazajutrz atoli, w sobotę, wysłał Shafter drugą depeszę, w której oświadcza, że obawia się, iż podana przezeń początkowo cyfra strat jest niedokładna, atoli niezmiernie trudno zebrać dokładne wiadomości.

„W szeregach naszych — donosi Shafter — ubyło może 1.000 ludzi... Potrzeba mi przynajmniej 40 lekarzy i wielkiego okrętu urządzonego na szpital“. Waszyngtoński departament wojenny, otrzymawszy tę depeszę wysłał bezzwłocznie z Keywestu okręt sanitarny tudzież 50 lekarzy z wielkimi zapasami opatrunków. Okręt szpitalny, który wysłano pod Sant Jago, pomieścić może 500 chorych. W depeszy wczorajszej zaś donosi Shafter, że fortyfikacye Sant Jago są tak silne iż niepodobna mu przystąpić do szturmu z siłami, jakiemi rozporządza, tembardziej, że wojsko jest niesłychanie znużone ostatniemi walkami. Wszystkie te urzędowe raporty przekonywują, że zwycięstwo piątkowe okupili Amerykanie bardzo drogo i że daleko im jeszcze do zdobycia Sant Jago.

Dzienniki nowojorskie doniosły nawet wczoraj, że jenerał Miles oświadczył się podobno za tem, ażeby jenerał Shafter opuścił zdobytą równinę pod Sant Jago, zabrał swe wojsko na okręty i na pełnem morzu czekał nadejścia posiłków, a dopiero po ich otrzymaniu przystąpił do zdobycia miasta. — Korespondent nowojorskiego *Heralda* opisuje piątkową bitwę w taki sposób: Walkę rozpoczął wczesnym rankiem jenerał Shafter atakiem na zewnętrzne okopy. Amerykanie posuwali się trzema liniami. Jenerałowie Lawton i Wheeler atakowali z dwóch stron Elganey, a wódz powstańców Garcia z oddziałem swym popierał ten atak od strony południowo-zachodniej, jenerał Kent posuwał się na Aguadores, zaś inne dywizye amerykańskie walczyły na linii od wybrzeża aż do skrajnych oszańcowań jenerała Linaresa na północy. Obie floty, zarówno Sampsona, jak i Cervery od samego początku brały udział w walce, okręty Sampsona zasypywały ciężkimi pociskami baterye hiszpańskie w Aguadores, zaś flota Cervery ostrzeliwała bezustannie i posuwające się kolumny amerykańskie i oddział Garcii. Hiszpanie prawdziwie rozpaczliwie bronili swych pozycyj w Elganey, lecz wojska amerykańskie zdobywały teren krok za krokiem i po kilku godzinach wyparły Hiszpanów. Równocześnie toczyła się zażarta walka na okopach w Aguadores, szturmowanych przez dywizyę Kenta. Ostatecznie wszelki opór Hiszpanów był daremny i musieli oni cofnąć się zarówno z Elganey jak i z Aguadores. Dywizye Kenta, Lawtona i Wheelera złączyły się i utworzyły nieprzerwany łuk od południowego wschodu na północ Sant Jago. Kolumny amerykańskie wstrzymały się w swym pochodzie prawie pod samemi bramami miasta, gdy noc już zapadła. Ogień działowy artyleryi admirała Cervery był nadzwyczaj celny. Z jednej kampanii amerykańskiej pozostało zaledwie kilku ludzi. Oficyalna depesza hiszpańska donosi zwięźle, że Amerykanie po zaciętym oporze zajęli pozycye hiszpańskie Tomesson, Juan i Elganey i że jenerał Linares jest ranny. Jenerał ten, tudzież wielu innych wyższych oficerów walczyło w pierwszych szeregach, aby dodać otuchy żołnierzom.

Choroba Cesarzowej. — Hr. Gołuchowski a prasa francuska. — „Reichswehr“.

Piszą nam z Wiednia, 3 lipca.

O chorobie Cesarzowej Elżbiety obiegały tutaj ostatniemi czasy najniepomyślniejsze i najprzesadniejsze wieści. Dzisiejszy urzędowy komunikat sprowadza je do realnych rozmiarów. Cesarzowa cierpi na anemię, sprowadzoną zapaleniem nerwów (neuritis), połączonem z bezsennością, w skutek czego nastąpiło osłabienie muskułu sercowego. Cesarzowa więc 15 czerwca wyjedzie do Nauheimu w W. Ks. Heskiem, aby używać tamtejszych gorących kąpieli słonych, połączonych z masażem. Symptomata anemii pojawiły się po raz pierwszy przed dwoma laty w Biarritz, uwydatniając się w częstych omdleniach. Jako główny powód anemii lekarze uważali wegetaryanizm. Cesarzowa żywiła się niemal wyłącznie owocami i mlekiem, wstrzymując się zupełnie od pokarmów mięsnych, a czyniła przy tak niedostatecznem wyżywieniu dalekie, całodzienne, trudzące wycieczki w góry. Już w roku zeszłym zatem,

---

28)

Pan Podfilipski.

(Ciąg dalszy).

Nasz towarzysz podróży wyszedł z przedziału. Podfilipski był w wybornem usposobieniu, rzekł mi więc:

— Poskandalizujmy trochę tego pana. Wygląda na jakiegoś łyka warszawskiego. Może fabrykant makaronu i chodzi mu o popularność jego firmy? może jaki szlagon, kandydat na radzcę, a może nawet jaśnie wielmożny sam pan radzca? Wszystko jedno. Mamy zdania niezależne i potrafimy je poprzeć. Niech się trochę pozżyma. A kiedy mu złość przejdzie, może co i zapamięta z naszej rozmowy i zapadnie mu w mózg jakie ziarnko... *Ridendo castiga mores!* Czy tak się to mówi, panie, bo już trochę wyszedłem z łaciny? Aha — ma przy sobie jakieś książki i gazety... Zobaczymy... *Gazeta polska* z odcinkiem Sienkiewicza. No, to każdy czyta... to nic nie znaczy. *Kuryer warszawski*... znowu nic nie wiadomo. „Sprawozdania z Towarzystwa popierania przemysłu i handlu“. Dobrze. Jakaś książka niemiecka... coś o mące, krochmalu... A co? nie mówiłem? fabrykant makaronu! A to co znowu? — Dziennik posiedzeń Rady państwa w Wiedniu.. W tem także musi być coś o cłach odnośnych do makaronu...

Tymczasem jegomość uchylał już drzwi od przedziału, ale nie spieszył się; pan Zygmunt miał czas położyć papiery na miejscu i rozpocząć perorę tak, jakby jej nie był przerwał. Mówił teraz po polsku:

— Co innego jeszcze zyskać sobie mir i zaufanie u ludzi swojej sfery: człowiek potrzebuje towarzystwa. Ale co o mnie w głębiach swej duszy myśli taki a taki fabrykant makaronu, albo pan Apolinary z Hrubieszowskiego, to mi zupełnie obojętne. Skoro się tych ludzi potrzebuje, wystarczy mój patent należenia do pewnej kategoryi towarzyskiej, lub opinia człowieka znającego się na interesach.

Jegomość w szarem ubraniu nie poruszył się już z miejsca. Pan Zygmunt sypał jeszcze przez pewien czas ogólniki, trochę wyzywające i skierowane do mniemanego fabrykanta, ale wkrótce znudziła go zupełna bierność słuchacza. Poczęliśmy rozmawiać o różnych innych rzeczach i osobach.

— Jestem bardzo zmęczony — mówił Podfilipski — tym długim pobytem w Warszawie, w Cisowie i we wszelkich miejscach, które nasze są. A wie pan, co mnie najbardziej męczy? Obcowanie z ludźmi, którzy są tak fatalnie pod każdym względem wychowani. Nie mówię jednak teraz o formach towarzyskich — i tych wielki brak — ale o innem, wyższem, filozoficzno-społecznem wychowaniu. Przecie u nas niepodobna gadać z ludźmi, nawet skądinąd niegłupimi. Jeden panu wyjedzie z tradycyą, już dawno osądzoną i skazaną przez historyę — jak Tomasz naprzykład; drugi całe swe zdolności poświęci archeologii przedhistorycznej; trzeci wystąpi z zasadami takiej przedpotopowej moralności, której nietylko on do siebie, ale nikt w obecnych czasach zastosować nie jest w stanie. W każdym kraju są takie oryginały, u nas zaś jest ich dziewięćdziesiąt na sto i to pomiędzy ludźmi wykształconymi, bo gmin poprostu nie żyje, nie myśli, nie istnieje. Jak rzadko spotyka się u nas ten rozpowszechniony gdzieindziej typ człowieka nowożytnego sfer wyższych, który umie żyć, nie kłócąc się z systemem istniejącym, nie szuka rzeczy niepodobnych, a za to z dostępnych układa sobie dzień, rok i przekonania ku swej wygodzie, rozkoszy i wewnętrznemu zadowoleniu.

Te rzeczy słyszałem już od pana Zygmunta, więc nie podtrzymywałem rozmowy, ale on myślał dalej głośno i przez skojarzenie pojęć doszedł do wychowania we właściwem znaczeniu, do wychowania młodzieży.

— Jak może być dużo ludzi wyrobionych w tym zapleśniałym kącie świata, skoro młodzież sfer wyższych tak się wychowuje?

Jakie skończy kursa szkolne, to jest dużo mniej ważne, niż pytanie, gdzie uczy się żyć. Szczęśliwe kraje, z których nie wyjeżdżając, przebyć można całą seryę doświadczeń życiowych, — ale u nas stan jest jeszcze tak smutny, że człowiek, który do lat trzydziestu nie wyjechał z kraju na czas dłuższy, jest prawie skazany na dozgonną pospolitość. Niepodobna przez pół życia żywić się samemi kartoflami i mieć dobrze wyrobione mięśnie.

Tutaj wystąpiłem z taką wątpliwością:

— Niezaprzeczenie podróże, odbyte rozumnie, kształcą bardzo umysł, ale przy naszych słabych charakterach istnieje znów niebezpieczeństwo egzotyzmu, albo też moralnej, a nawet rzeczywistej ekspatryacyi. Gdyby to się rozmnożyło...

— Niech się rozmnoży — rzekł pan Zygmunt — odnajdziemy się gdzieś zawsze. Ja to ciągle mówię naprzykład Fredowi, że powinien dłużej posiedzieć za granicą.

— Boi się rodziców — nadmieniłem.

— To niech przestanie się ich bać — jest już przecie pełnoletni. Oto jest właśnie sytuacya typowa. Młody człowiek, bardzo zdolny, mający szczęście do ludzi, rwący się do życia i obdarzony różnymi osobistymi i stanowymi przywilejami, trzymany jest na uwięzi przez starych, którzy reprezentują także pewne dodatnie nasze cechy, ale też i dziwaczne przesądy. Żyć w kraju i dla kraju! — to brzmi niby pięknie, a w samem zdaniu jest prawie *contradictio in adjecto*. Żeby wiedzieć, jak żyć, trzeba już koniecznie wyjrzeć z naszej budy. Można do niej powracać, naprawiać ją na wzór innych, widzianych podczas zewnętrznych wędrówek — ale żyć w niej bez przerwy znaczy — razem z nią pleśnieć. Wracam do wspomnianego przykładu. Fred kieruje się na wielkiego pana, czyli na człowieka, który powinien być wzorem dla innych. Musi więc znać i salony paryskie, i pola wyścigowe angielskie, i polowania na Szlązku; musi poznać i porównać wyższe sfery wszystkich krajów, nabrać ich przeciętnych pozorów i przekonań, musi znać *la grande vie* i różne jej gorączkowe komplikacye, — co mu nie przeszkadza bywać po uniwersytetach, uczyć się socyologii, prawa, czego chce. Ale nie uniwersytet jest szkołą życia, tylko obracanie się w najgorętszych wirach cywilizacyi, picie u źródeł jej najwyższych wyskoków. — Ja nie żartuję, panie, ja mówię prawdę. — Przez bulwary paryskie płynie nauka szersza, mądrzejsza i bardziej przenikająca, niż z katedr Sorbony, albo uniwersytetu w Berlinie. Nie walczę ja przeciw nauce ścisłej i formalnej, tej jednak nabyć można wszędzie; ale doświadczać, uczyć się empirycznie i z prawdziwą korzyścią można tylko tam...

Wskazał palcem kierunek, w którym biegł nasz pociąg.

Wyraziłem znowu niektóre wątpliwości:

— Ten sposób wychowania dla bardzo małej liczby jest dostępny. Jest zaś inna strona wychowania, nawet szerszego, o którem pan mówi, — poznać potrzeby własnego kraju. A tego młody człowiek zagranicą nie nauczy się.

— Nauczy się ogólnych potrzeb, wymagań i wykończeń życia — to więcej znaczy.

— Może dla jego osobistej przyjemności, ale nie dla pożytku, któryby mógł przynieść na miejscu, gdzie mu przeznaczono żyć.

Pan Zygmunt spojrzał na mnie z nieopisanym wdziękiem: w uśmiechu jego twarde przekonanie walczyło z przyjaźną pobłażliwością. Rzekł mi:

— Nawrócę pana chyba dopiero za granicą. A tymczasem zbliżamy się do niej i troska o te wszystkie drobne sprawy miejscowe, będzie dla nas wkrótce czemś oddalonem, zapomnianem. Jutro będzie pan ze mną w raju.

Zauważyłem dopiero teraz, że nasz towarzysz podróży przestał czytać i zasunięty w kąt wagonu, wpatrywał się dość pilnie w Podfilipskiego.

Na stacyach pogranicznych poddaliśmy się nudnym formalnościom paszportowym i rewizyjnym. Pomimo tych zajęć, zwróciły uwagę naszą niektóre oznaki uszanowania, oddawane nieznajomemu, którego mieliśmy przez cały czas za niemego świadka rozmowy.

— Kto to może być taki? — pytał Podfilipski. — Dowiemy się przy oddawaniu paszportów.

Ale paszport zwrócono mu bez wymienienia nazwiska, za to z wojskowym ukłonem. Po rewizyi w Szczakowie znaleśliśmy się znowu w jednym przedziale z nieznajomym.

Teraz chodziło na dobre Podfilipskiemu o wiadomość, kto to taki; postanowił więc przerwać kilkugodzinne milczenie naszego towarzysza i grzecznie zaproponował mu, jeżeli jedzie do Wiednia, abyśmy wzięli we trzech duży przedział sypialnego wagonu.

— Dziękuję panu, — odrzekł nieznajomy — zmieniam pociąg w Trzebini.

— To pan jest mieszkańcem Galicyi?

— Przepędzam tu pewną część roku. Wolnoż mi się wzamian spytać, czy pan jest Polakiem? — równie uprzejmie zapytał znajomy.

Zdziwiony Podfilipski odpowiedział:

— Naturalnie...

A temten pan kiwnął parę razy głową, jakby się dowiedział wszystkiego, co wiedzieć pragnął, wyprostował się i znowu zapadł w swą nieruchomość. Ani słowa więcej nie usłyszeliśmy od niego.

(Ciąg dalszy nastąpi).

podczas pobytu w Cap Saint Martin, lekarze skłonili Cesarzową do zmiany dyety i do zaniechania zbyt częstych wycieczek. Ta nagła zmiana trybu życia pociągnęła za sobą depressyę duchową. Cesarzowa wówczas podobno powzięła zamiar przełożyć Szekspira na język nowogrecki. Ostatecznie otoczenie odwiodło ją od tak ciężkiej pracy, zachęcając do spisywania raczej swych wrażeń na morskich podróżach i przy zwiedzaniu dalekich krajów. Ostatnie tygodnie Cesarzowa spędziła w pałacu Lainz w pobliżu Schoenbrunnu. Słabość tak się wzmogła, że trzeba było w rozległym ogrodzie co 100 kroków ustawić ławki, na którychby Cesarzowa mogła odpoczywać, często też zamiast przechadzać się pieszo, odbywała przejażdżki w karecie. W towarzystwie Cesarzowej znajdowała się tam tylko dama dworska i pokojówka. Wczoraj Cesarstwo zawitali do Ischlu, skąd Cesarzowa wyjedzie na 5 tygodni do Nauheimu, po czem na dodatkową kuracyę uda się zapewne w południowe strefy. Komunikat dzisiejszy implicite więc zapowiada, że Cesarzowa nie będzie uczestniczyła w uroczystościach jubileuszowych. Oczywiście rok ten pamiętny staje się dla sędziwego Cesarza rokiem samych przykrości!

Hr. Gołuchowski dziś wyjeżdża do Paryża, gdzie zabawi kilka dni, aby potem udać się do wód francuzkich Vittel w Vogezach, gdzie także bawił w roku zeszłym. Goły ten fakt dostatecznie świadczy, że hrabia Gołuchowski zupełnie jest wolny od wszelkiej niechęci do Francyi. Rzecz tem dziwniejsza, że prasa francuska nieustannie napada na ministra spraw zagranicznych. W *Figarze* te napaści ex-agenta Guiberta, który przy ostatnich wyborach dostał się do parlamentu, od dawna przeszły w stan chroniczny. Ale także nibyto poważny *Temps*, uważany jako organ francuskiego ministeryum spraw zagranicznych, w ostatnim numerze zwraca się przeciwko hr. Gołuchowskiemu z równie niedorzeczną, jak przewrotną insynuacyą. *Temps* oskarża hr. Gołuchowskiego, że skłania eks-króla Milana do strącenia swego syna z Aleksandra z tronu i osadzenia na nim syna nieprawego łoża (Christicza?). Sama ta kombinacya jest tak śmieszną, że możnaby ją przepuścić w *Figarze*, którego nikt nie bierze na seryo, ale w łamach poważnego dziennika działa oburzająco, zwłaszcza gdy się ją tłómaczy „intrygą“ rządu austryacko węgierskiego. Naturalnie *Temps* także w znanej polemice o „Głos Czarnogórca“ powstaje przeciwko rządowi tutejszemu, który nie uczynił nic innego, tylko całkiem poprawnie odparł zuchwałą insynuacyę organu ks. Mikołaja, jakoby znana, całkiem autentyczna depesza o oświadczeniach margrabiego Salisburego była została „podrobiona“ w tutejszej kancelaryi urzędowej. Oczywiście *Temps* znajduje się w największej zgodzie z różnemi austryackiemi dziennikami „słowiańskimi“, które solidarność słowiańską pojmują tak, że trzeba koniecznie stawać po stronie ks. Czarnogóry, chociaż na czele ministerstwa spraw zagranicznych Austro-Węgier stoi Polak hr. Gołuchowski.

P. Dawid dziś w *Reichswehrze* oznajmia, że wytoczony skarbowi proces, który miał stanąć na repertuarze sądowym 8 b. m., został skończony ugodą. Jaką p. Dawid otrzymał gratyfikacyę, dotąd nie wiadomo. Ale konstatując, że *Reichswehr* odzyskuje swą zupełną niezależność, p. Dawid implicite zaznacza, że nadal nie powinien nikt uważać jej jako organ rządowy. Radykalne dzienniki zapowiadają interpelacyę, z jakich funduszów rząd wynagrodził p. Dawida.

Korespondencye.

Berlin, 28 czerwca.

Kandydat polski w Berlinie otrzymał przy wyborach do parlamentu nie dużo głosów, z powodu braku odpowiedniej agitacyi. W jednym z okręgów wyborczych padło na księdza szambelana Wawrzyniaka 5 głosów, w innym 12, a w pozostałych czterech nie liczono dotąd wcale głosów polskich osobno. Ale między rozstrzelonymi znajduje się trzecia część głosów polskich, których liczba wynosi około 300—400 głosów na kandydata polskiego. Wynik ten nie powinien tu był zadziwić nikogo, a nie zasmucił poważnie myślących, którzy już przed wyborami byli przeciwni osobnemu polskiemu kandydatowi. Nadziei na wybór Polaka nie było, a głosowanie na polskiego kandydata podrażniło Niemców i odebrało kilkaset głosów kandydatowi przyjaznego nam centrum katolickiego.

Tutejsza akademia umiejętności na ostatniem posiedzeniu wyznaczyła różne subwencye na cele naukowe. Wśród nich wyasygnowano rodakowi naszemu, drowi Józefowi Paczkowskiemu w Getyndze, b. bibliotekarzowi królewskiego księgozbioru w Berlinie 1800 marek na dalsze prowadzenie i ukończenie badań agrarno-historycznych. Na wykończenie litewsko-niemieckiego słownika udzieliła akademia subwencyi 3000 marek p. D. Schmidtowi.

Przed kilku dniami wyszedł tu drugi tom niemieckiego przekładu dzieła Waleryana Kalinki „Sejm czteroletni“. Krytyka niemiecka, o ile dotąd się odezwała, bardzo pochlebnie wyraża się o pracy znakomitego historyka polskiego. Szczególniej krytycy zaznaczają, że ocena pruskich mężów stanu przez Kalinkę jest w ogólności ostrą, ale nie zasługuje na nazwę niesprawiedliwej. Wyróżnia też krytyka niemiecka trafną ocenę stosunków wewnętrznych Austryi, zaznaczając, że zdanie Kalinki obecnie, we 12 lat po jego śmierci, w wypadkach bieżących znajduje zupełne potwierdzenie. Bezstronna a szczera krytyka dyplomacyi polskiej, rażącej swoją nieudolnością, wywołuje podziw Niemców, uznających dzieło historyka naszego za rzecz nadzwyczaj godną czytania.

Między humanitarnymi instytucyami Berlina zajmą niebawem pierwsze miejsce żłobki dla niemowląt. Stowarzyszenie mające na celu utrzymywanie żłobków zawiązało się z inicyatywy cesarzowej wdowy Fryderykowej Korzystając z uprzejmości jednego z lekarzy-założycieli tego stowarzyszenia, zwiedziłem właśnie w tych dniach jeden taki żłobek, znajdujący się w dzielnicy Moabit, licznie zamieszkałej przez ludność fabryczną. W widnych, z doskonałą wentylacyą pokojach stoją ustawione rzędem kołyski, każda posiada numer, ten sam numer ma flaszka do mleka i odpowiednia bielizna. Matki mogą zostawiać dzieci już od godziny 5 rano do 9 wieczór, a nawet dłużej. Zanim dziecko przyjęte zostanie po raz pierwszy do żłobka, podlega ono oględzinom lekarskim, czy nie cierpi na zaraźliwą chorobę. Oprócz tego lekarz-opiekun codziennie odwiedza żłobek i informuje się o stanie zdrowia wszystkich niemowląt. Opłata od dziecka wynosi zaledwie 1 markę 20 fenigów tygodniowo, gdy tymczasem za pozostawianie niemowląt u sąsiadek płaci się w Berlinie 3 marki tygodniowo, oprócz tego w tym ostatnim wypadku matka obowiązaną jest dostarczać mleko, cukier, pieluchy itd. Pomijając już to, że innej opieki doznają niemowlęta w żłobku, a innej u sąsiadek, sama taniość zachęca matki do korzystania ze żłobka.

Świat muzykalny berliński otrzyma niebawem okazyę przysłuchania się nowszym utworom muzycznym mistrzów niemieckich i zagranicznych.

Oto w teatrze Zachodnim od dnia 15 go września r. b. urządza Max Hofpauer nowy przybytek opery. Program przedstawień obejmuje dużo nowych oper, względnie mało znanych w Berlinie. W repertuarze tym znajdują się między innymi „Demon“ Rubinsteina i „Jewgenij Oniegin“ Czajkowskiego, dalej „Silvana“ Webera, opera komiczna „Huzar“ Ign. Bruella, „Herman i Dorota“ Uhringa, „Czternastu pomocników“ Loewengarta, „Aptekarz“ Haydna itd.

Tutejsze sfery lekarskie zaprzątnięte są kongresem lekarzy pruskich, który się ma odbyć we wrześniu b. r. Z zapowiedzianych referatów budzi wielkie zainteresowanie odczyt Polaka dra Kornalewskiego fizyka powiatowego z Olsztyna „O zatruciu kolchicyną“. Równocześnie z przygotowaniami do przyszłego kongresu zajmuje uwagę tutejszych eskulapów wynalazek z dziedziny chirurgii ortopedycznej. Oto w zakładzie ortopedycznym w Aue stosowano z powodzeniem „sztuczną rękę“. Przyrząd jest bardzo prosty: mocna pochwa skórzana, wsunięta na kikut ramienia i przymocowana rzemieniami, do niej przytwierdzone dwie sztaby stalowe, odpowiadające długości brakującego ramienia; u dołu przymocowana jest rura stalowa długości mniej więcej 5 centymetrów, w której tkwi coś w rodzaju kleszczy, poruszanych silną sprężyną. Przy pomocy tych kleszczy może pacyent nietylko dźwigać ciężkie przedmioty, ale i wykonywać różne proste roboty.

Wielką senzacyę wywołały w publiczności tutejszej wieści o kilkunastu wypadkach zatrucia lodami waniliowymi. W kwestyi tej zabrał przed kilku dniami publicznie głos uchodzący za powagę lekarską prof. Leyden. Mówiąc o zatruciach lodami przedstawił on zgromadzonym pacyentkę ze szpitala szarytek, która po spożyciu trzech łyżeczek lodów waniliowych wyszedłszy na ulicę dostała kurczów z oznakami nagłego zatrucia. Prof. Leyden zaznaczył, że w takich razach powodem choroby nie jest sama wanilia, mimo jednej części składowej trującej, mianowicie „kardolu“, lecz bakterye, zawarte w lodzie.

Niezwykły wypadek zdarzył się tu przed tygodniem na placu ćwiczeń pionierów w dzielnicy Hasenhaide. Porucznik Erich Wollmann otrzymał polecenie zniszczenia dwóch beczek zepsutego prochu. Rozsypano proch z jednej beczki na kilka kupek na ziemi i przygotowano się do zapalenia prochu za pomocą iskry elektrycznej. Nagle rozległ się straszny huk, a gdy dwaj żołnierze, towarzyszący oficerowi, przyszli do siebie po gwałtownem ogłuszeniu, spostrzegli na miejscu, gdzie był proch, głęboką wyrwę w ziemi, mającą około 20 metrów obwodu. Okazało się, iż oficer Wollmann rozerwany został na kawały, które z trudnością odszukano. Przypuszczają, iż powodem katastrofy była iskra, która przypadkowo powstała z tarcia butów Wollmanna o proch. Oficer bowiem, wbrew instrukcyi, nie wziął obuwia pilśniowego, lecz zatrzymał na nogach skórzane. W sąsiednich domach w okolicy odczuto wybuch bardzo silnie; szyby w wielu domostwach popękały. Żołnierze, towarzyszący oficerowi, którzy oddalili się na kilkanaście kroków, wyszli z przygody bez szwanku.

Wyścigi konne we Lwowie.

W dniu trzecim pierwszy bieg był o nagrodę Jockey-Clubu austryackiego na mecie 1600 m. Z mianowanych 16 koni wzięło w nim udział 5. Pierwszą nagrodę 1000 k. wzięła 3-l. kaszt. kl. hr. Fel. Korytowskiego „Peccadille“, która już raz w drugim dniu wyścigów przyszła jako pierwsza. Drugą nagrodę 350 k. wziął „Toll“, og. kaszt. 3-l. Wł. Schindlera, trzecią 150 k. og. gn. 5-l. „Vignola“ por. br. Pletzgera. Totalizator 5 : 14.

Do drugiego biegu na mecie 2400 m. stanęło z zamianowanych 10 koni 6: rotm. Brzozowskiego kl. kaszt. 3-l. „Walküre“, p. Kaz. Rostworowskiego og. gn. 3-l. „Trebevics“, który już raz był w tym sezonie zwycięzcą, oba konie chowu p. Scazighino, p. J. Krzysztofowicza kl. kaszt. 3-l „Hanele“, nr. Osk. Potockiego „miss Fairy“ kl. gn. 3-l, Wł. Schindlera kl. kara 3-l. „Kochanka“, stada Chorzelowskiego kl. kgn. 3-l. „Kreta“, która już raz w tym sezonie zwyciężyła. Bieg prowadził „Trebevics“, za nim szła „Kreta“, przy końcu jednak „Kretę“ prześcignęła „Walküre“ i zbliżyła się bardzo szybko do „Trebevicsa“ ale nie zdołała go dopędzić. Tak pierwszym był „Trebevics“, drugą „Walküre“, trzecią „Kochanka“. Nagroda zwycięzcy wynosiła 5000 k. ofiarowanych przez ministeryum rolnictwa, inne 500 k. i 300 k ofiarowanych przez gal. Towarzystwo chowu koni. Totalizator płacił 5 : 24, a więc bardzo wysoko, gdyż „Kreta“ była silnie obstawiona.

III. Wojskowy bieg z przeszkodami. Meta 3600 m. Nagrody, ofiarowane przez krajowe pułki kawaleryi i artyleryi: 480 k., 160 k., 80 k. Z 15 mianowanych koni biegało 4. Pierwsza przyszła do mety kl. kasz. 4-l. rotm. Brzozowskiego „Helf Gott“, już po raz drugi zwyciężczyni w tym sezonie, drugim był wał. gn. 4-l. „Isegrim“ por. Heintschla, trzecim og. gn. 5-l. „Zapór“ por. Weilenbecka. Totalizator płacił 5 : 6.

Bieg IV — wielki chorostkowski bieg z przeszkodami na mecie 3200 m., nagroda 3.000 k. (2 000 k. ofiarowanych przez hr. Wilh. Siemieńskiego-Lewickiego i 1 000 k., ofiarowanych przez gal. Towarzystwo chowu koni), z których 1.500 k. zwycięzcy, 750 k. drugiemu, 500 k. trzeciemu, 250 k. czwartemu koniowi. Koni biegało z 13 mianowanych 6: kap. Pecha kl. kaszt. 6 l. „Wiosna“ (chowu śp. Jana Tarnowskiego), hr. Fel. Korytowskiego kl. gn. 4 l. „Fair Lady“ (chowu p. Maryi Bogdckiej), p. J. Krzysztofowicza kl. gn. 6 l. „Arrows-child“, p. Wł. Schindlera kl. kaszt. pełnol. „Gretchen“, tegoż kl. kaszt. 4 l. „Margosza“, por. hr. Z. Zamojskiego kl. kargn. 4 l. „Nieznana“ (chowu śp. Tarnowskiego). Zwyciężyła „Wiosna“, jeżdżona przez por. br. Eltza, drugą była „Margosza“, trzecią „Gretchen“, czwartą „Fair Lady“. Totalizator 5 : 8.

Bieg V z przeszkodami koni półkrwi. Sweepstakes gwarantowany do sumy 1.000 k., z których 500 k. zwycięzcy, 250 k. drugiemu, 150 trzeciemu, 100 k. czwartemu koniowi. Meta 4000 m. Z 11 koni do biegu stanęły: por. Absbása „Hibás“, już raz zwycięzca w tym sezonie, wałach bułany, mający 16 lat, weterynarza F. Bartoscha og. „Manfred“, hr. J. Baworowskiego kl. „Pani“, również już raz zwyciężczyni, por. E. Kollera og. „Paź“, p. J. Krzysztofowicza „Presque pur sang“, por. Rothermana kl. „Kania“, rotm. Streeruwitza kl. „Stiftsdame“. Walka rozgrywała się głównie między „Hibasem“, jeżdżonym przez por. Uljhazego, a „Presque pur sang“, na którym jechał por. Eltz. Zwyciężył „Hibas“. Trzecim był „Manfred“, czwartą „Kania“. Totalizator 5 : 7.

W biegu 6-tym (gonitwa myśliwska) na mecie 6000 m. zdobył nagrodę honorową p. Korytowskiego „My Darling“, drugi przybiegł Rumerskirchena „Alkony“, trzeci Gregourha „Harnat“. Totalizator 5 : 9.

* * *

Dzień czwarty. Do pierwszego biegu o nagrody „Jockey-Clubu (1.000 k., 350 k. i 150 k) stanęło 6 z mianowanych 14 koni: kap. Pecha kl. „Callina“, p. Krzysztofowicza og. „Little master“, hr. Osk. Potockiego og. „Risico II“, p. Schindlera kl. pełnol. „Gretchen“, stada Chorzelowskiego og. gn. 6 l. „Cham“, por. hr. Zamoyskiego kl. „Nieznana“. Meta 2000. Zwyciężył o 2 długości „Cham“, drugą była „Gretchen“, trzecim „Risico II“. Totalizator płacił najwyżej w tym sezonie, 29 za 5, bo powszechnie spodziewano się zwycięstwa „Gretchen“.

W drugim biegu, biegu klaczy (o nagrodę 300 k. z wkładek) zwyciężyła po raz trzeci „Peccadille“ p. Korytowskiego, biorąc o siedem długości „Golden Residue“ klacz por. Pletzgera. Trzecią była „I can not“ ze stada p. Ostaszewskiego, na końcu przyszła „Kochanka“ p. Schindlera. Totalizator 5 : 8.

Bieg trzeci: wielki bieg lwowski z przeszkodami. Meta 4.000 m. Nagrody gal. Towarzystwa chowu koni (2 500 k., 750 k., 500 k i 250 k.). Z mianowanych 7 koni stanęło do startu 4: hr. J. Baworowskiego „Pani“, „Nonsens“ p. St. Pieńczykowskiego „Licho“ klacz ze stada p. Ostaszewskiego i por. Stadlera „Świtezianka“. Zwyciężyła o 6 długości „Licho“, jeżdżona przez por. Eltza, drugim był „Nonsens“, który tym razem jechał dość spokojnie, trzecią była „Pani“. Totalizor 5 : 9.

Bieg IV sprzedaży przychówku stadnin. Nagrody gal. Towarzystwa chowu koni: 750 k. i 250 k. Meta 2.000 m. Zwyciężył w. kaszt. 3 l. p. Wł. Fibicha „Nemo“ o 2 długości, drugą była „Creole“ p. W. Baworowskiego, trzecią „Balhitka“ p. Gorayskiego. Natomiast „Złota“ również klacz p. Baworowskiego, a którą ogólnie liczono, kaprysiła na samym początku biegu i dopiero, gdy inne konie oddaliły się o pół mety, ruszyła do celu pokazując doskonałym galopem, że mogła być pierwszą. Totalizator 5 : 14.

W biegu pocieszenia z płotami na mecie 2.400 wzięły udział dwa znane już konie: „Presque pur sang“ klacz p. Krzysztofowicza, jeżdżona przez por. Eltza i „Fair Lady“ klacz p. Korytowskiego, jeżdżona przez por. Fibicha. Oba konie biegły doskonale, zwycięzcą była „Fair Lady“, która tuż przed samą metą pobiła swą rywalkę o 5 długości. Nagrody 80% i 20% z wkładek. Totalizator 5 : 12.

W ostatnim biegu (bieg pocieszenia płaski na mecie 1.200 m.) wzięły udział: „La Marquise“ klacz ze stada p. Ostaszewskiego, „Hanele“ klacz p. Krzysztofowicza i „Skrzetuski“ wałach p. Korytowskiego. Zwyciężyła „La Marquise“, drugim był „Skrzetuski“. Nagrody 80 % i 20% z wkładek.

Na tem skończyły się wyścigi.

Kronika naukowa.

Immermann w swoim „Münchhausenie“ staremu, zbankrutowanemu szlachcicowi, doradza założenie fabryki cegieł ze zgęszczonego powietrza. Cegieł tych jeszcze przemysł dzisiejszy nie wyrabia, ale mamy już powietrze płynne, które dziś już z laboratoryów przechodzi do przemysłu i którego zastosowania w praktyce, nieprzewidziane jeszcze, największą mieć mogą donośność. Coby powiedzieli nasi starzy profesorowie chemii i fizyki, gdyby jeszcze żyli, że nie ma już gazu, któryby nie mógł być skroplony?

Ostatni, najoporniejszy ze wszystkich gazów, wodór, miesiąc temu właśnie, 10 go maja r. b. poddać się musiał. W dniu tym bowiem p. Dewar, słynny fizyk, członek Królewskiego Londyńskiego Towarzystwa, zdołał nareszcie skroplić wodór, najlżejszy ze wszystkich znanych gazów. Gaz ten zdawał się być niepokonanym. Tlen skroplony został po raz pierwszy przez naszego ziomka, nieodżałowanego Wróblewskiego, i wkrótce potem w r. 1877 przez Cailletet'a i Pictet'a; pierwszeństwo tego odkrycia niesłusznie przywłaszczają sobie Francuzi. Po tlenie nastąpiło skroplenie azotu, potem powietrza: myślano więc, że nastąpi wkrótce kolej na wodór — dwadzieścia lat jeszcze trzeba było nad tem pracować! Wprawdzie już w r. 1884 Cailletet i Pictet doprowadzili wodór do zgęszczenia początkowego w formie mgły, tak samo i Wróblewski. Następnie w r. 1891 Olszewski otrzymał kilka kropelek wodoru, drogą rozluźniania gazu tego pod ciśnieniem 190 atmosfer i przy bardzo nizkiej temperaturze, spowodowanej ulotnieniem płynnego tlenu i azotu. Nigdy jednak nie można było otrzymać płynu, w ilości dostatecznej, by go przelać z jednego naczynia do drugiego.

Właśnie teraz p. James Dewar, wyzyskując zimno powstałe z wyciskania się przez mały otwór wodoru ściśnionego, zdołał gaz ten skroplić pod ciśnieniem 180 atmosfer i przy nieznanej dotąd temperaturze 205° poniżej zera. Tak otrzymany gaz skroplony zbiera się w naczynie o dwóch ścianach posrebrzanych, w odstępie których robi się jednocześnie próżnię Crookes'a. P. Dewar początkowo zbierał po 50 centymetrów sześciennych płynu na minutę, później 100; dzisiaj doprowadził już do litra na minutę.

W stanie płynnym wodór jest jasny i bezbarwny, jak woda czysta. Gęstość jego nieco jest wyższą, aniżeli obliczenia przedtem przypuszczać dozwalały. Płynny wodór nie jest magnetyczny, jak tlen płynny. Mętnieje prędko, bo w zetknięciu z nim powietrze oziębia się, zamarza i opada w postaci śniegu na dno naczynia. Powietrze bowiem skrapla się przy temperaturze 191°. Wata umaczana w wodorze płynnym i przybliżona do zapałki, spala się szybko, wydając duży płomień wodoru.

Tenże sam p. Dewar skroplił także i helium, gaz, którego istnienie wyśledzono na słońcu (zkąd jego nazwa) i który odkryto i na ziemi przed dwoma laty, krótko po odkryciu argonu. Znakomity fizyk zanurzył w płynnym wodorze małą rurkę, napełnioną tym gazem. Helium natychmiast się skropliło, co wskazuje, że jego punkt wrzenia blizkim być musi punktu wrzenia wodoru.

Otóż więc nie ma już dzisiaj ani jednego gazu, któregoby nie można przekształcić w stan płynny i stały; jednocześnie zaś, po drodze, nauczyliśmy się stwarzać temperatury, przewyższające o wiele temperatury na kuli ziemskiej znane. Na biegunach zimno, w Grenlandyi i w Syberyi, w Werkojsańsku np. minimum stwierdzone temperatury nie przechodzi — 70°. Z chwilą zaś skroplenia wodoru otrzymujemy sztucznie — 205°. Maluczko a dobijemy do t. zw. zera absolutnego (—273°), czyli do punktu, gdzie podług obliczeń termodynamicznych żaden ślad już ciepła nie istnieje.

Zwykło się przepowiadać, że ziemia zginie od zimna, kiedy stygnące słońce coraz mniej ciepła przesyłać jej będzie. Oziębi się ona wówczas, zamarznie wszystko i życie z powierzchni jej zniknie. Ale któżby był przewidział, że po wodach morskich które do dna samego w lód się zamienią, powietrze nawet następnie w płyn, a potem i w masę stałą się zamieni?

Powietrze atmosferyczne, gdy temperatura obniży się do —191°, przejdzie w stan płynny... nie będzie już atmosfery! a ziemia pokryje się stopniowo całunem zlodowaciałego powietrza. Stary, zastygły nasz księżyc, jak się zdaje, wcale lub bardzo mało już tylko posiada atmosfery, kto wie... może na drugiej jego połowie, której nigdy nie widzimy także już zgęszczona jego atmosfera?

Wszystkie tego rodzaju odkrycia fizyki doświadczalnej daleko rozsuwają granice naszego widnokręgu a jeszcze przewidzieć nie można o wiele się one przyczynią do postępów w nauce ścisłej i w przemyśle.

Ale poświęćmy jeszcze słów kilka dawniej już otrzymanemu powietrzu płynnemu, bo to nowy aktor, dziś już wstępujący na scenę.

Powietrze płynne fabrykują dziś już na wielką skalę w Europie i w Ameryce; już stało się przedmiotem handlu, czas więc się z niem zapoznać.

Jak już nadmieniliśmy, wszelkie gazy dziś już można zamienić w stan płynny, a nawet i stały: potrzeba do tego tylko ściśnienia i oziębienia. Tą drogą cząstki gazowe coraz więcej się zbliżają, potem łączą, aż w końcu ze stanu lotnego przechodzą w stan płynny, a nawet i stały. Operacya ta jest wręcz odwrotną od tego, co każde dziecko bez zdziwienia się zrobić potrafi, kiedy za pomocą ciepła bryłę lodu zamienia najprzód w płyn, a następnie, przy podniesionej więcej temperaturze, w parę. Za pomocą więc ciepła rozluźniliśmy cząstki składowe, zrobiliśmy płyn, a w końcu gaz. Odwrotnie, za pomocą oziębiania z pary zrobimy wodę, a przy jeszcze większem oziębieniu, wodę zamienimy w lód.

Weźmy teraz powietrze atmosferyczne, ściśnijmy je, oziębmy a zamienimy je tak samo w płyn i nawet w lód powietrzowy. Tylko, że przy tej tu operacyi potrzebne są temperatury bardzo niskie, nieznane wcale w żadnym klimacie ziemskim. Atoli sztucznie temperatury tak niskie wytworzyć zdołano, wyzyskując zasadę nader prostą. Gaz wszelki, rozluźniający się przy dobywaniu się przez otwór wązki, wytwarza zimno. Skorzystajmy przeto z tego rozluźnienia, aby spowodować oziębienie masy powietrza w naczyniu zamkniętem. Tak oziębione już powietrze rozluźnijmy ponownie tymże samym sposobem: spowoduje ono teraz temperaturę jeszcze niższą niż poprzednio. Takiemi etapami postępujmy dalej, a cierpliwie, i nastąpi w końcu chwila w której powietrze tak się oziębi, iż przejdzie w stan płynny. Na tej więc zasadzie zbudowano przyrządy do ściśniania i rozluźniania, które doprowadzają powietrze do jego punktu skroplenia czyli do blizko 200° poniżej zera. Skroplone powietrze wre przy —191°, czyli, że przy tej bajecznie niskiej temperaturze powraca znów do stanu lotnego.

Powietrze płynne jest nieco mętne, z powodu że zawiera pewną ilość kwasu węglanego zgęszczonego i kryształki lodu; ale po oczyszczeniu przez filtrowanie, staje się płynem przeźroczystym, błękitnawo zabarwionym.

Jak wiadomo powietrze jest mieszaniną tlenu i azotu, a dwa te gazy skroplone nie mają wspólnego i tego samego punktu wrzenia. Azot wre przy —194°, a tlen przy —184°. Przeto też, przez parowanie, płyn ten traci prędzej azot niż tlen; mieszanina tym sposobem doznaje przemiany: po upływie kilku godzin, przy naczyniu otwartem, płyn już po większej części składa się z tlenu płynnego, 75% mniej więcej. Wiadomo, że tlen potężnie wzmaga proces palenia; dlatego też, w postaci tej zgęszczonej, liczne znajduje zastosowania.

Zimno parzy tak samo, a nawet więcej, niż gorąco, czyli że za dotknięciem, ciało bardzo zimne niszczy tkankę skórną. Przekonać się mógł o tem, kto miał sposobność dotknąć trochę śniegu z kwasu węglanego: chociaż temperatura tutaj jest tylko 32° poniżej zera. Za dotknięciem zmarzniętej rtęci słyszy się trzeszczenie przypieczonej skóry. To są jednak temperatury niezbyt nizkie, cóż dopiero z powietrzem płynnem! z tem żartować nie można.

Wspomniany już Pictet leczył się przez sześć miesięcy ze sparzenia przy temperaturze —120°, gdy podobne oparzenie ogniem byłoby się zagoiło w ciągu dziesięciu lub piętnastu dni.

Tlen skroplony ma tę dziwną własność, że w obec magnesu zachowuje się tak jak żelazo. Gdy się rurkę małą, napełnioną tym płynem, zawiesi na nitce i przybliży się elektromagnes, rurka poddaje się przyciąganiu.

Dziwne są doświadczenia, które robić można z powietrzem płynnem. Pary wytworzone przez wrzenie przy — 190° są ciężkie, wskutek tego opadają one na około naczynia, w którem się płyn znajduje i kotłują się jak obłoki na stole doświadczalnym. Gałka kauczukowa spływa na tym płynie, ale po wyjęciu z niego rozpada się na okruszynki. Jajko, po minucie zanurzenia w powietrzu płynnem, staje się twardem, jak ołów, ale się łamie za najlżejszem ściśnieniem. Nawet żelazo, po krótkim w płynie tym pobycie staje się tak kruchem, że rozpryskuje się za lada uderzeniem. Samo z siebie się rozumie, że powietrze płynne posiada siłę ekspansywną ogromną, albowiem po powrocie do swego stanu pierwotnego miałoby objętość 748 razy większą. Wystarczy nalać trochę płynu w rurkę stalową, a następnie zakorkować po obu końcach; po niedługim czasie, gdy się parowanie rozpocznie, oba korki z wielkim hukiem, jak z butelki szampana wyskakują. Jeżeli się zmoczy gazetę i przybliży się zapałkę, następuje wybuch natychmiastowy i rozszarpany papier rozlatuje się na wszystkie strony. Rtęć przechodzi w stan stały przy — 40°; wystarcza spuścić jedną kropelkę powietrza płynnego na rtęć, by metal ten zamienił się w bryłę twardą; można użyć go w tym stanie jako młotek i gwóździe przybijać. Alkohol, który przy największych zimnach nie zamarza i dlatego w srogich podbiegunowych klimatach w termometrach rtęć zastępuje, zamarza w tym przypadku powoli. Do szklanki napełnionej alkoholem wpuścić wystarczy rurkę zawierającą trochę powietrza płynnego; po chwili alkohol cały zmienia się w bryłę lodu. Nigdy przedtem nie widziano alkoholu zmarzniętego!

Nareszcie niechaj wolno będzie przytoczyć kilka iście dziwacznych doświadczeń. Kwas węglany, ów gaz powstający przy paleniu się węgla, przy temperaturze — 32°, skrapla się i ustala się potem w postaci śniegu. Wystarcza też przybliżyć palący się papieros do naczynia zawierającego płynne powietrze, aby ujrzeć ciekawe widowisko przemiany natychmiastowej dymu tytoniowego w śnieg delikatny. Pochodzący ze spalenia bibułki i tytoniu kwas węglany ustala się tu natychmiastowo w maleńkie białe kryształki. Można urozmaicić to doświadczenie i sprawić złudzenie, że się śnieg z ognia wyrabia. W tym celu wpuszcza się do płynnego powietrza żarzący się węgiel. Ten ostatni pali się dalej, podsycany będąc ulatniającym się z płynu tlenem; ale kwas węglany, produkt palącego się węgla zgęszcza się i szronem pokrywa żarzący się węgiel. Albo też ustawia się na ogniu naczynie szklane z powietrzem płynnem; gaz dobywający się z ogniska ociera się o ściany naczynia i osiada na nich jako śnieg kwasu węglanego. Widowisko całkiem nieprawdopodobne!

Doświadczeń tych dziwnych pomnoży się jeszcze liczba teraz, gdyż jak opowiedziało się wyżej, udało się wreszcie Dewarowi skroplić ostatnie najoporniejsze dwa gazy: wodór i helium, które wszelkim dotąd usiłowaniom uczonych urągały. Ponieważ wodór do skroplenia się jeszcze niższej niż powietrze wymaga temperatury, gdyż pod ciśnieniem 180 atmosfer dopiero przy —205° się skrapla, w nowym tym płynie przeto (w wodorze skroplonym) trochę powietrza zgęszcza natychmiast; ujrzy się więc powietrze w śnieg zamienione, opadające na płyn wodorowy. Czyż większe wyprawiał czary Twardowski?! Ale oczekują nas większe jeszcze dziwy, płynące z pamiątnego owego odkrycia p. Dewar'a, skroplenia wodoru, oraz helium, tego przed dwoma jeszcze laty zupełnie nieznanego gazu.

Tymczasem w przekonaniu, że znajdujemy się w chwili, gdzie nowe nieprzewidziane z odkryć tych nastąpią zastosowania, pozwalamy sobie zwrócić na nie uwagę pomysłowych wynalazców. Zachodzi tu mianowicie pytanie: czy te gazy skroplone, których produkcya tak łatwa a siła ekspansywna tak wielka, nie dałyby się użyć jako nowe środki wybuchowe a także i motory? Powietrze skroplone bardzo szybko paruje; 12 litrów tego płynu ulatnia się i znika w przeciągu 8 godzin. Kto wie, czy niemowlę to dziś jeszcze nie wyrośnie wkrótce na zwycięskiego rywala pary?

Z izby sądowej.

— Wiedeń, 3 lipca.

(*Wypadek na kolei*)

Z powodu, że dnia 9 maja roku zeszłego dwa pociągi kolei elektrycznej Mödling Hinterbrühl, idące w przeciwnym kierunku, wpadły na siebie, stawał wczoraj urzędnik tej kolei p. Henryk Selbmann, przed tutejszym sądem karnym, oskarżony o występek przeciw bezpieczeństwu życia. W dniu wymienionym mimo zwiększonego ruchu, Selbmann sam jeden pełnił służbę ekspedyenta pociągów na stacyi Klausen, a było tych pociągów dnia owego aż 92. Otóż zmęczony natężającą robotą Selbmann dał znak do odjazdu pewnego pociągu, zapominając, że w tejże chwili miał nadjechać inny pociąg, idący w kierunku przeciwnym, a skutkiem tej pomyłki było to, że te dwa pociągi wpadły na siebie, przy czem 9 podróżnych odniosło lekkie skaleczenia. Sąd skazał Selbmanna na miesiąc ścisłego aresztu.

Kronika.

Lwów 4 lipca.

W całej Galicyi zachodniej panuje zupełny spokój.

Wiadomości urzędowe. Lwowski wyższy sąd krajowy zamianował oficyałami kancelaryjnymi: Jakóba Duniaka w Samborze dla Trembowli, Józefa Mozołowskiego w Sanoku dla Sanoka, Rafała Fedorowicza przy wyższym sądzie kraj. we Lwowie dla Bóbrki, Leona Weryhę Wysoczańskiego Petrusiewicza w Podhajcach dla Kałusza, Michała Kaznowskiego w Borszczowie dla Kopyczyniec, Bazylego Brygidera w Brzeżanach dla Peczeniżyna, Michała Cwenarskiego w Przemyślanach dla Radziechowa, Wiktora Przybylskiego w Jarosławiu dla Dobromila i Feliksa Antoniego Śliwińskiego w Zabłotowie dla Buska.

Obywatelstwo honorowe nadała Rada gminna m. Borszczowa w uznaniu zasług położonych około dobra powiatu i miasta, marszałkowi Mieczysławowi hr. Dunin Borkowskiemu i staroście Karolowi Mühlnerowi.

Na uroczystość odsłonięcia pomnika Mickiewicza w Krakowie rozliczne instytucye i wybitne osobistości polskie i czeskie nadesłały bardzo serdeczne telegramy, w których jednozgodnie brzmi nuta wielkiego hołdu dla nieśmiertelnej pamięci wieszcza, oraz — jeśli telegramy pochodzą od Czechów — zapewnienia trwałej i szczerej dla narodu polskiego, przyjaźni. Wśród tego mnóstwa telegramów znajdują się: od ministra dla Galicyi Jędrzejowicza, namiestnika hr. Pinińskiego, rektora lwowskiego uniwersytetu dr. Rehmana, od Towarzystwa śpiewackiego „Silesia“ w Królewskiej Hucie, na Górnym Szląsku; dalej nadesłali telegramy gratulacyjne: dr. Rieger, prezes Akademii czeskiej Hlavka, burmistrz Pragi dr. Podlipny, poseł dr. Pacak, poetka Eliza Krasnohorska, grono najwybitniejszych kobiet czeskich kobiet z Pragi, Akademia południowo-słowiańska umiejętności i sztuk w Zagrzebiu, Związek polityczny w Kutnej Horze, Mieszczańska Beseda w Kutnej Horze, redakcye *Politik* (po polsku) i *Narodni Politika* (po polsku), Matica Horwacka w Zagrzebiu, profesor kolegium francuskiego w Paryżu, Ludwik Leger i w. i.

Walne zgromadzenie członków Towarzystwa kolonii wakacyjnych dla dziewcząt odbędzie się dnia 5 bm. w lokalu Stowarzyszenia nauczycielek, Rynek l. 10.

Popis publiczny chłopców i dziewcząt lwowskiego zakładu dla ciemnych, ul. Łyczakowska 37, odbędzie się dnia 12 lipca o godz. 10 rano.

Bolesław Prus (Głowacki), znakomity nasz powieściopisarz i publicysta, przyjechał do Galicyi, aby zbadać stan naszych szkół wiejskich oraz położenie kmieci. Materyały, które on zbierze, mają posłużyć p. Janowi Blochowi do opracowania projektu t. zw. „domów ludowych“, to znaczy instytucyi, w którychby włościanie znajdowali naukę i rozrywkę.

Z politechniki lwowskiej. Dziekanem wydziału inżynieryi wybranym został prof. Karol Skibiński, dziekanem wydziału budowy maszyn prof. Julian Jaxa Bykowski, a dziekanem wydziału chemii technicznej prof. Bronisław Pawlewski na lata 1898/9 i 1899/900.

Zaćmienie księżyca. Wczoraj około godziny 10 wieczorem oglądać można było nieczęste zjawisko całkowitego niemal zaćmienia księżyca. Tarcza samotnika niebieskiego wschodząc już była częściowo zakrytą. W miarę wznoszenia się nad horyzont nikło z niej coraz to więcej, tak, że około godziny 11 widocznym był już tylko wąziutki rąbek księżyca. Reszta utonęła w słupie cienia rzuconego na tarczę księżyca przez ziemię, która wsunęła się całym swoim ogromem pomiędzy niego a słońce. Po bliższem wpatrzeniu można jednak było dostrzedz osłonioną część tarczy księżycowej. Była ona ciemno-czerwoną. Podczas tego chowania się i wychylania odbył księżyc prawie całą swoją wędrówkę i dopiero kończąc ją około godziny pierwszej wysunął się całkiem z cienia po drugiej stronie nieba.

Nowy order. Z powodu jubileuszu Cesarza Franciszka Józefa ma być ustanowiony order imienia Elżbiety. Będzie on stanowił poniekąd uzupełnienie orderu Franciszka Józefa, przeznaczonego dla mężczyzn; order Elżbiety zaś będzie nadawany tylko kobietom.

Ze stowarzyszeń. Wczoraj odbyło się walne zgromadzenie *Towarzystwa szpitalika św. Zofii*. Uchwalono na niem przybudować pawilonik do istniejącego szpitalika i urządzić tam miejsce dla trzydziestu pacyentów. W ostatnich dwóch latach wykazuje sprawozdanie kasowe deficyt w sumie przeszło trzech tysięcy zł., gdyż wydatki były większe niż dochody. Niedobór ten został pokryty z kapitałów Towarzystwa. Skład wydziału pozostał niezmieniony.

Stow. rękodzielników „Skała“ odbyło wczoraj walne zgromadzenie, na którem zdano sprawę z działalności w ostatnich trzech latach. Towarzystwo stale się rozwija tak w liczbie członków, jak i w majątku, który pozwala już niebawem przystąpić do budowy budynku na rzecz funduszu inwalidów, wdów i sierót po członkach „Skały“. Dotychczasowego prezesa, ks. kanonika Odelgiewicza mianowano dożywotnim prezesem honorowym, a prezesem rzeczywistym mianowano ks. proboszcza Stopczyńskiego.

W piątek odbyło się doroczne *zgromadzenie Towarzystwa ku podniesieniu chowu koni i wyścigów*. Wiceprezes hr. Bielski oznajmił na niem, że w roku przyszłym postara się Towarzystwo o wprowadzenie rozmaitych ulepszeń na torze hr. Cetnera, między innemi urządzi wygodne loże dla publiczności. Wydziałowi polecono wypracować memoryał do ministerstwa rolnictwa o trudnościach, z jakiemi mają do walczenia hodowcy koni w kraju, zwłaszcza przy zakupnie ogierów. Prezesem Towarzystwa wybrano Juliusza hr. Bielskiego, albowiem Wilhelm hr. Siemieński złożył z powodu nadwątlonego zdrowia godność prezesa. Wiceprezesem wybrano Stanisława hr. Siemieńskiego, a członkiem wydziału Jana hr. Tarnowskiego (młodszego).

Towarzystwo „Chór akademicki“ w Krakowie urządza w tym roku, jak lat poprzednich, w drugiej połowie lipca wycieczkę artystyczną do miejsc kąpielowych.

W międzynarodowym turnieju szachowym we Wiedniu ukończono już połowę wszystkich partyi. Najlepiej stoi Niemiec N. Tarrasch, który ma obecnie 17½ partyi wygranych, po nim Amerykanin Pillsbury (16½), Francuz Janowski 15½, słynny Steinitz ma 14½ a Rosyanin Czygoryn 14.

Skutki stanu wyjątkowego. W sobotę skonfiskowała prokuratorya państwa w Krakowie *Głos Narodu*, *Grzmot* i *Dyabła* za artykuły o rozruchach antyżydowskich. U przywódców i głośniejszych zwolenników partyi socyalno-demokratycznej krakowskiej pp. Englischa, Kaczanowskiego, Misiołka, Haeckera, Klemensiewicza, Bobrowskiego, dra Zygmunta Marka, Baumfelda, Matejki i Kleinbergera odbyto w sobotę rewizyę domową.

Jeszcze dreyfusyada. Wczoraj w Paryżu zaszła na ulicy skandaliczna scena. Major Esterhazy — jak telegrafują z Paryża — spotkawszy przypadkowo pułkownika Picquarta, zwymyślał go i uderzył laską. Picquart odwzajemnił się w podobny sposób Esterhazemu i byłoby przyszło do pospolitej bójki, gdyby nie przechodnie, którym udało się zapaśników rozdzielić.

Fałszywą pogłoskę, że w Starym Sączu aresztowano kilku członków tamtejszej rady gminnej pod zarzutem współudziału w rozruchach antyżydowskich, obala tamtejszy burmistrz p. Pawlikowski, oświadczając, że dotychczas ani jednego radnego nie aresztowano.

P. Teodor Rygier, artysta rzeźbiarz, twórca pomnika Mickiewicza, otrzymał od króla Humberta włoski order „Cavaliere di corona d'Italia“.

W Bursie nauczycielskiej w Tarnopolu będzie na rok szkolny 1898/9 opróżnionych 60 miejsc. Podania wnosić należy do zarządu bursy na ręce dr. Maurycego Maciszewskiego, dyrektora gimnazyum w Tarnopolu, do 18 bm.

Zgon na dworcu kolejowym. Sierżant policyi Longin Łukasiewicz z Trembowli wybrał się w podróż do Krakowa, gdzie chciał poddać się operacyi gardła. Tymczasem na dworcu kolejowym w Tarnopolu dostał ataku sercowego i natychmiast życie zakończył.

Polacy w Karlsbadzie. Staraniem komitetu, na czele którego stał poseł Włodzimierz Gniewosz ze Złotego Potoku, wystawiono w Karlsbadzie pomnik Mickiewiczowi. W sobotę 2-go lipca odbyła się uroczystość uczczenia pamięci wielkiego wieszcza. Nabożeństwo, w czasie którego atoli miejscowy proboszcz nie zezwolił wygłosić polskiego kazania, odprawił ks. infułat Walczyński z Tarnowa. Świątynia licznie zapełniła się — z Polaków, a bawi ich tu około 200 obecnie, jawili się wszyscy. Słynny tenor Bandrowski odśpiewał w czasie nabożeństwa Moniuszki „Na skrzydłach pieśni“. Następnie imieniem komitetu i bawiących tu Polaków szambelan Włodzimierz Gniewosz złożył u stóp pomnika wspaniały wieniec i wygłosił piękne patryotyczne przemówienie. Cała uroczystość odbyła się wspaniale, a niedrażniąco Niemców.

Epidemie na Filipinach. Z rozmaitych informacyi prasy amerykańskiej zdaje się wynikać, że na okrętach admirała Deweya żółta febra i ospa grasuje już epidemicznie. Wiadomość ta nie zdziwi nas bynajmniej, jeżeli zważymy, że klimat Filipinów okazał się wręcz zabójczym dla rasy białej i przywyknąć do niego prawie niepodobna. Malarya pokazuje się często u ludzi, którzy od piętnastu lat żyli na Filipinach i pocieszali się nadzieją, że organizm ich jest niedostępnym dla zabójczych wpływów klimatu, a prócz febry dziesiątkuje cudzoziemców biegunka, tyfus, ospa itd. Dla scharakteryzowania niebezpieczeństwa wystarcza fakt, że wśród Hiszpanów wysp Filipińskich panuje w warunkach normalnych o 5 prc. wyższa śmiertelność niż w Europie, w czasie najgwałtowniejszych epidemij. W roku 1830 przybył do Manili batalion, składający się z 1000 ludzi, a do batalionu tego w roku następnym przyłączono 500 krajowców. W r. 1838 cały pułk musiał uledz reorganizacyi, bo z białych żołnierzy ani jeden nie pozostał przy życiu. Od roku 1840—1845 znajdowało się na Filipinach 186 oficerów hiszpańskich, z których w przeciągu pięciolecia tego umarło 63.

Jeden z pułków artyleryjskich składał się w styczniu 1845 r. z 240 żołnierzy. W ośm lat później cyfra pozostała ta sama choć pułk otrzymał tymczasem 500 nowych żołnierzy. Nawet w najświeższych czasach, mimo postępu medycyny i hygieny, śmiertelność na Filipinach jest znacznie większą, niż na Kubie, tak okrzyczanej jako miejsce wyjątkowo niezdrowe. I w klasztorach filipińskich choroby dziesiątkują zakonników, choć zaprowadzono tam wzorowe urządzenia sanitarne, a najcharakterystyczniejszym jest fakt, że na całym archipelagu nie ma dziś ani jednego człowieka należącego do tych rodzin hiszpańskich, które tam osiadły w końcu ubiegłego stulecia. Innemi słowy: w trzeciej generacyi biała rasa na Filipinach wymiera.

W obec głównej choroby krajów podzwrotnikowych, t. j. malaryi, nauka jest dotychczas bezsilną, bo chinina wprawdzie łagodzi ją i osłabia, ale w wielu wypadkach usunąć nie jest w stanie. Profesor Koch twierdzi stanowczo, że kto raz przeszedł szczęśliwie malaryę bez pomocy chininy, ten jest przed nią na zawsze zabezpieczony, podobnie jak to się dzieje przy ospie, ale 1) mało tylko ludzi taką próbę przetrzymuje; 2) misyonarze i oficerowie z wysp Filipińskich zaprzeczają twierdzeniu temu. Mimo to profesor Koch, w odczycie swoim p. tyt. „Obserwacye lekarskie w krajach tropikalnych“, obstaje przy własnych spostrzeżeniach i wyraża nadzieję, że uda mu się przy pomocy szczepienia zabezpieczyć mieszkańców przed straszną chorobą. Niemiecki uczony zwraca uwagę, że nie tyle woda i powietrze przyczyniają się do rozszerzania zarazków malaryi, ile owady, ssące krew ludzką w rodzaju moskitów, owej plagi podzwrotnikowej. Zauważyli to już podobno oddawna murzyni, którzy w moskitach upatrują źródło chorób najrozmaitszych. Przemawia za tem także fakt, że na wysokości 1200 metrów nad powierzchnią morza, gdzie nie ma już moskitów, nie ma także malaryi.

Złotą bransoletkę znaleziono wczoraj obok „koła szczęścia“ na festynie na placu powystawowym. Właścicielka może ją odebrać w Dyrekcyi policyi.

Ofiary. Na kościół w Kochawinie otrzymaliśmy od p. M. M. z Bursztyna 2 złr.

Zmarli. W Krakowie Florentyna Dasowa, żona dyrektora muzyki katedralnej na Wawelu. — W Zagwóździu Michalina Jabłonowska, córka Matyldy z hr. Czapskich i Hipolita Osieckiego, żołnierza z r. 1863, lat 29.

Stan powietrza. T. o g. 8 rano +17, w poł. + 19 R. Bar. 764. Spada. Pogoda niepewna.

Myśli.

Satyra jest jak lancet: w ręku lekarza leczy, w ręku fuszera kaleczy.

Każdy w druku może wymyślać na ogół, gdyż ten, co czyta, nigdy nie bierze do siebie tego, co czyta.

Kto umie być zadowolony ze swego małego losu, ten, zaiste, wygrał wielki los na loteryi życia.

Co to jest krytyk? To człowiek, który wciąż prawi kazania cudzym dzieciom.

Pochlebstwo daleko więcej szkód wyrządza ludziom, niż oszustwo.

Człowiecze, zanim udasz się do lekarzy, pamiętaj, że Bóg stworzył lekarstwa dla bogatych, zdrowie zaś dla ubogich.

Z chwilą, gdy zakochani doszli na punkcie swoich uczuć do jednego zdania, zaczynają to sobie mówić na ucho, po cichu, jako — tajemnicę.

Trzynaście miesięcy panowania.

Ma Ameryka swoją arystokracyę finansową, jak stara Europa swoją arystokracyę pochodzenia i urodzenia. Elastyczne z natury rzeczy ramy tej arystokracyi rozszerzają się z rokiem każdym. Po królach kolejowych i parowcowych, złotych, srebrnych, żelaznych, nafcianych i węglanych, Ameryka dostała króla zbożowego. Nazywał się Józef Leiter, a panował tylko trzynaście miesięcy. Historya jego życia jest historyą jednego z najzuchwalszych spekulantów amerykańskich.

Józef Leiter urodził się w Chicago, z rodziców zamożnych. Otrzymał staranną edukacyę, a po wyjściu z uniwersytetu w Harvard otrzymał od ojca, kupca bławatnego, okrągły milion dolarów na „zaczęcie interesu“. Zamiast zapisać się na listę złotej młodzieży, młody Leiter zaczął robić pieniądze, a raczej starał się nabrać doświadczenia, potrzebnego do robienia pieniędzy. Z początku nadużywano jego niedoświadczenia: stracił dużo pieniędzy na kopalniach, ale poznał, co to są kopalnie; zaangażował znaczne sumy w kolejach, ale odtąd koleje nie miały dla niego tajemnic; brał trochę udziału w operacyach giełdowych i poznał giełdę na wylot. Nie zajmował go ani świat, ani przyjemności tego świata. Był stworzony do innych przeznaczeń. Myślał, rachował, kombinował; przyjaciele mieli go potrosze za maniaka, stary zaś Leiter, który znał się na ludziach, zacierał z zadowoleniem ręce, patrząc na jedynaka, bo widział w synu materyał na Vanderbildta, Astora lub Goulda.

Po czterech latach „praktyki“ Józef Leiter obrachował resztki swego miliona, porzucił wszelkie drobne operacye, zaczął studyować ekonomię polityczną i bywać codziennie w Wheat Pit. W jakim celu? Zaraz zobaczymy.

Chicago jest największym rynkiem zbożowym w Ameryce północnej, a może nawet w świecie całym. W elewatorach tego miasta gromadzą się zbiory północy i wschodu, na jego Wheat Pit, czyli giełdzie zbożowej, dokonywane są transakcye olbrzymie. Wheat Pit w Chicago ma swoją historyę i swoje legendy, bo tam James Kean zrobił potworną w swej wielkości fortunę; Hutchinson stracił co miał, a John L. Blaine o mało co nie zrujnował tysiące rodzin, których drobnemi kapitałami obracał. Małe ryby giną na tej jedynej w swoim rodzaju giełdzie. Wielcy spekulanci dochodzą do bajecznych wyników.

Wszystko to zbadał i zrozumiał Józef Leiter, a po zrozumieniu i zbadaniu udał się do ojca, przedstawił mu plan kampanii, zaczerpnął z kasy ojcowskiej potrzebnych funduszów i rozpoczął business na wielką skalę, jeden z takich, których Europa prawie nie widuje.

Debiutował Leiter w *Wheat Pit* w lipcu 1897-go r., kupując powoli lecz stale partye zboża od 5 000 do 10.000 buszli na dostawę w pewnych datach, stosownie do rozporządzalnego kapitału. Z tygodnia na tydzień zwiększały się zakupy. Weterani giełdy zbożowej zaczęli marszczyć brwi znacząco i przewidywać coś niezwykłego. Zaprzeczał temu tylko Filip Armour, właściciel największych elewatorów chicagoskich, który twierdził, iż Leiter rozporządza zbyt małym kapitałem, że przeto zakupy ograniczą się do rozmiarów drobnych. Ale jakież było zdziwienie weteranów i Armoura, gdy dowiedzieli się, iż zakupy, dokonane przez Leitera za gotówkę, przekraczają już dwa miliony buszli, i że, zamiast zwalniać biegu, spekulant idzie naprzód coraz żwawiej. Zaczęto tedy myśleć o reakcyi, utworzył się syndykat z Armourem na czele, który sprowadził z Duluth, pomimo chłodów i fatalnych dróg w listopadzie, ogromne ilości zboża, tak, iż przeszło 3 miliony buszli znalazło się w elewatorach chicagoskich. Spodziewano się, że ulęknie się groźny przeciwnik. Tymczasem Leiter, wspierany kapitałami ojca, wykupował po cenie wyższej zboże, na które miał ochotę syndykat. Kupował i kupował bez końca, a wszędzie głoszono, iż młodemu spekulantowi szczęśliwa przyświeca gwiazda, że niebawem zwyżka cen pszenicy napędzi młodemu Leiterowi miliardy do kasy, że dziś już ma on 9 milionów buszli pszenicy, kupionej za gotówkę, że przeto słusznie należy mu się tytuł króla zbożowego. Jakoż w maju r. b. Leiter miał już 30 milionów buszli pszenicy na dostawę i 12 milionów za gotówkę, co razem przedstawiało wartość 175 milionów franków. Aby tę masę zboża przewieźć przez ocean, trzebaby naładować 100 okrętów po 3 000 ton każdy.

Trzynaście miesięcy trwało panowanie nowego króla zbożowego. Ale przewidywania zwyżki nie sprawdziły się. „Królowi“, wraz z cenami zboża, spadła korona z głowy. Zamiast miliardów, udziałem Józefa Leitera był deficyt. Weterani *Wheat Pit* czyli giełdy chicagoskiej wraz z Filipem Armourem odetchnęli, albowiem nanowo odzyskali władzę nad rynkiem zbożowym. Nazwisko Leitera drukowane nie będzie w *Book of wealth* (księga bogactwa), gdzie figurują tylko „królowie“, noszący jeszcze korony na głowie.

Część ekonomiczna.

Wiedeń, 2 lipca.

(Z.) Na giełdzie naszej czuć już sezon ogórkowy. Pomimo silnych notowań na targach berlińskim i londyńskim mdła tendencya u nas nie mogła zostać przełamaną. Wielu spekulantów wyjeżdża bowiem do kąpiel i stara się przed wyjazdem rozwikłać swe zobowiązania, a te sprzedaże w braku odpowiedniego popytu wywierają nacisk na kursa. Ostatnie burze gradowe na Węgrzech wywołały ogromny spadek akcyi niektórych Towarzystw asekuracyjnych. Akce węgierskiego Towarzystwa ubezpieczeń od gradu spadły o 20 złr. Do ministeryum finansów nadeszły już ze wszystkich prowincyi relacye o wymiarze podatku osobisto-dochodowego. W całej Austryi wynosi wymiar tego podatku 22 miliony złr. preliminowano go zaś na 18 milionów.

Ostatnie notowania

Kredyt. austr. 358·30 węgierskie 395 —, Anglobank 157 8 , Unionb. 296 50 Bankverein 266·25, Länderbank 227·50, Ludwiki 212 20, Czerniowieckie 292 50 Elbethal 261 75, Renta papierowa 101 90, srebrna 101 75, austryacka złota 121 40, austr. renta wal. kor. 100 70, węgierska złota 120 70, węgierska renta wal. kor. 99.10, dukat 5·63, 20 frankówka 9·51½, marki 11·74—, ruble 1·26¾.

Ceny zboża. Wiedeń 2 lipca. Pszenica na jesień 8 96—9 07; żyto na jesień 6 95—7 04; owies na jesień 5.88—5 94; kukurudza na lipiec-sierpień 5·32—5 36; rzepak na sierpień-wrzesień 12 65—12 75. Spirytus 19.40—19.60. (Przeciętna cena z całego tygodnia 19.35—19 50).

§ **Losy wystawy jubileuszowej.** Przy pierwszem ciągnieniu losów wystawowych w Wiedniu główna wygrana 25.000 koron padła na ser. 15942 nr. 77; 5000 koron na ser. 3718 nr. 62; 1000 koron na s. 4797 nr. 21; po 500 kor wygrały ser. 5476 nr. 92 i ser. 9093 nr. 16; po 200 koron wygrały ser. 724 nr. 83, s. 4259 nr. 20, ser. 11895 nr. 11, s. 12020 nr. 48 i ser. 15138 nr. 74; po 100 k. wygrały ser. 260 nr. 69, ser. 2069 nr. 62, ser. 2196 nr. 75, ser. 2793 nr. 41, ser. 5620 nr. 41, serya 6032 nr. 49, ser. 9518 nr. 62, s. 10424 nr. 3, ser. 1124 nr. 36 i ser. 13038 nr. 51.

§ **Losy austr. Czerwonego Krzyża.** Główna wygrana 20.000 zł. padła na seryę 336 nr. 50; 1000 zł. na ser. 1423 nr. 43.

§ **Z kolei państwowych.** Wschodnio-północno-zachodni austryacki związek kolejowy. Z dniem 1 bm. wszedł w życie dodatek I do taryfy część II zeszyt 5 (taryfa wyjątkowa dla ruchu) z dnia 1 stycznia 1898 r., którym stacyę Bochnia wliczono do tego związku.

Telegramy Przeglądu.

Wojna hiszpańsko-amerykańska.

Nowy Jork 4 lipca. Dziennik *Evening World* donosi, że jenerał hiszpański Pando z sześciotysięcznym oddziałem wkroczył do Sant Jago.

Madryt 4 lipca. Z Hongkongu donoszą, że jenerał Monet, o którym dzienniki angielskie doniosły, że przegrał bitwę z Aguinaldem i w niej zginął, znajduje się w Macabebe. Oddział jego liczy 1000 ludzi. Jeneralny gubernator Augusti dał mu rozkaz, aby starał się koniecznie przedrzeć do Manilli.

Z Hawanny donosi gubernator Blanco, że ubiegłej nocy widziano przed portem tamtejszym 22 okrętów amerykańskich, tudzież, że trzy okręty amerykańskie bombardowały wybrzeża w Manzanillo i Tayabacoa.

Dziennik urzędowy ogłosił dekret królewski, powołujący pod broń dalszych 26000 ludzi.

Madryt 4 lipca. Obiega tu pogłoska, że jenerał Linares zginął w bitwie pod Sant Jago. Urzędowego potwierdzenia tej pogłoski nie ma dotychczas, natomiast nadeszła urzędowa depesza, donosząca, że podczas szturmu na Elganey zginął jenerał Vara del Rey, tudzież adjutant Linaresa.

Londyn 4 lipca. „Biuro Reutera“ donosi, że dwa okręty z eskadry admirała Camary przepłynęły kanał sueski i zawinęły do portu w Suezie.

Waszyngton 4 lipca. Do „Białego Domu“, rezydencyi Mac Kinleya, nadeszła depesza, że admirał Sampson wdarł się wczoraj do zatoki Sant Jago i zniszczył flotę admirała Cervery.

Także departament wojenny otrzymał doniesienie, że cała flota hiszpańska została zniszczona.

Waszyngton 4 lipca. Jenerał Shafter nadesłał wczoraj z Playa del Este następującą depeszę: „Dziś zażądałem od komendanta Sant Jago bezzwłocznego poddania się i zagroziłem bombardowaniem. Sądzę, że miasto podda się.“

Londyn 4 lipca. Z Kingstonu na Jamaice donoszą o przebiegu walk na Kubie, że okręty amerykańskie znajdujące się pod Manzanilo zatopiły tam dwa wojenne okręty hiszpańskie i uszkodziły wiele łodzi kanonierskich.

Londyn 4 lipca. „Biuro Reutera“ donosi z Hongkongu, że posiłki amerykańskie na trzech okrętach transportowych przybyły do Cavite 30 czerwca. Część tych wojsk obsadziła po drodze wyspy Ladrońskie (Złodziejskie) i zostawiła tam załogę, zaś tamtejszego gubernatora hiszpańskiego i wszystkich urzędników zabrano na okręty i przywieziono do Cavite.

Praga 4 czerwca. Opowiadają tu, że jeżeli wdrożone przez rząd pertraktacye ugodowe nie doprowadzą do żadnego rezultatu, w takim razie rząd zniesie rozporządzenia językowe i zastąpi je ustawą językową, wydaną na podstawie § 14 ustaw zasadniczych.

Konstantynopol 4 czerwca. Ambasadorowie wielkich mocarstw postanowili uregulować stosunki na Krecie prowizorycznie w ten sposób, iż utrzymanie porządku na wyspie powierzone ma być komitetowi, wybranemu przez kreteńskie zgromadzenie narodowe, a zostającemu pod nadzorem admirałów międzynarodowej eskadry. Admirałowie mają prawo zwoływać ten komitet, urządzić żandarmeryę i ustanowić administracyę w miastach. Całe wybrzeże Krety pozostawać ma pod nadzorem rady admiralskiej.

Petersburg 4 czerwca. W całym kraju zakaspijskim dało się czuć silne trzęsienie ziemi, które trwało 2 minuty. Rzeka Amudaria wystąpiła z brzegów i zalała nisko położone miejscowości. Budynki rządowe i kolejowe ocalały, ale lepianki tuziemców w wielu miejscowościach runęły.

Rzym 4 lipca. Dziś znowu zaczęły się posiedzenia parlamentarne, przerwane wskutek przesilenia rządowego. Szef nowego gabinetu jenerał Pelloux przedstawił ministrów, zażądał uchwalenia prowizoryum budżetowego na 6 miesięcy i wniósł liczne projekta reform administracyjnych. Jenerał gorąco przemówił do deputowanych, prosząc ich, aby nie zrażając się nadzwyczajnymi upałami, nie opuszczali posiedzeń i spełnili swój obowiązek w czasach niezmiernie ciężkich dla ojczyzny.

Peszt 4 lipca. Wedle dokładnych obliczeń, ostatnia burza zrządziła w 16 komitatach węgierskich nadzwyczajne spustoszenia na polach. Przeszło 9.000 gmin doniosło Towarzystwu ubezpieczeń od gradu o zniszczeniu plonów, które wynosi od 25 do 100%. W ogóle burza nie zrządziła żadnej szkody tylko w komitacie alfeldskim, we wschodniej części okolic podkarpackich i w Siedmiogrodzie.

Londyn 4 lipca. Dzienniki donoszą, że nowy gabinet japoński zawiadomił księcia Henryka pruskiego, stojącego z swoją eskadrą w Kiao-Czau, iż rząd japoński dołoży wszelkich starań, aby zamierzona przez księcia podróż po Japonii odbyła się zupełnie szczęśliwie, jednakże z powodu rozbudzonego w narodzie fanatyzmu nie może wziąć na siebie odpowiedzialności za możliwe nieprzyjemne wypadki. W skutek takiego oświadczenia rządu japońskiego, ks. Henryk zaniechał zamiaru udania się w podróż po Japonii.

HOTEL IMPERIAL.

pierwszorzędny hotel, restauracya i kawiarnia.

Lwów — ulica Trzeciego Maja.

Przyjechali dnia 4 lipca. Księżna Sapieżyna z córką z Bilki. Z. hr. Lasocki z M. Weisskirchen. F. hr. Czosnowski z Ożomli. Z. br. Brunicki z Lubliniec. J. K. br. Berke z Warszawy. W. Skrzyński z żoną z Nozdrzec. A. Rottenberg z Gródka. L. Borowski z Laszek. Jaruzelski z żoną z Elizawetgradu. L. Dembiński z Nieznanowic. M. Torski z Tarnobrzega. W. Stawiarski z Jedlicz. S. Unreich z Pragi.

HOTEL ŻORŻA.

Lwów — Plac Maryacki.

Przyjechali dnia 4 lipca. Marya hr. Pinińska z Grzymałowa. Zdz. hr. Tarnowski z Dzikowa. Kazimierzowie hr. Rostworowscy z Krechowa. Aleks. Raciborski z Spasowa. Ks. Ferdyn. Basarabowicz z Sidorowa.

HOTEL FRANCUSKI

we Lwowie, plac Maryacki.

W nowym zarządzie, zupełnie odnowiony.

(F. C. Proksch).

Przyjechali dnia 4 lipca. P. Wierzbowski ze Stanisławowa. J. Wierzbowski z Brodów. Aleksandrowie Strzeleccy z Kukizowa. P. Kliegl z Rawy Ruskiej. Stanisław Launer z Krakowa. Jan Ross z Stanestie (Bukowina). Dr. Antoni Zając ck. notaryusz z Seretu. Ks. Dwornicki i J. Dziczek z Uhnowa. P. Sadliński z Chrzanowa. Fr. Goian z Suczawy. P. Promińscy z Tarnopola. J. Żmigrodzcy z Ukrainy (Rosya). Wł. Marmoross z Karowa. J. Grunwaldowie z Władypola. Bol. Skarbek Kruszewski ze Schodnicy. P. Siebold z Żółkwi. Z. Suszycki z Jasła. P. Odrzywolscy z Krakowa. P. Michałowski z Sosnowca. Wł. Niedźwiedzki z Wańkowiec. W. Winarski z Rosyi.

NADESŁANE

Rubryka ta nie pochodzi od Redakcyi, nie bierze też ona za nią na siebie żadnej odpowiedzialności.

Dlaczego musimy używać sztucznych nawozów i jak przekonywamy się o ich skuteczności.

Przez dra Wilhelma Hermesa.

Nawet najsilniejszy pokład nawozu stajennego nie zwróci roli wszystkich części składowych, które rokrocznie odbieramy roli, sprzedając zboże, owoce strączkowe itd.

Wprawdzie powrócą przy użyciu nawozu naturalnego do gleby te części, które zabrały słomą, siano itp., na paszę zużyte plony, ale to co zawierają ziarna sprzedane, tego tą drogą nie odzyskamy.

Jeżeli więc żniwa nie mają wypadać coraz gorzej, to trzeba brakujące składniki, zwłaszcza zaś kwas fosforowy, azot i potas zwracać roli w dostatecznej ilości.

O ile uzupełnienie tych części nie następuje przez nawóz oborowy, nazywa się „sztucznem nawożeniem“.

Gdy tylko częściowo je zaniechamy, tak że np. do wytwarzania ziarn konieczny kwas fosforowy brakuje, to niemogą się naturalnie i ziarna należycie rozwinąć, zostają drobnymi, nieznacznymi i mało wydatnymi.

Sprawimy sobie sztuczny nawóz, zakupując go w jakiej fabryce lub u jej zastępcy i to tak, że gwarantowaną zawartość żądanego pokarmu dla rośliny potwierdzać dajemy w jakiej publicznej i państwowej stacyi doświadczalnej. Próba ta w stacyach doświadczalnych odbywa się z reguły kosztem fabryki *).

Zupełnie naturalnem jest, że przy zakupnie sztucznego nawozu najniższa cena jest decydującą zwłaszcza gdy idzie o małe **próbne nawożenie**, które polecamy każdemu rolnikowi, który się zajmuje tak ważną dzisiaj sprawą nawozów stucznych.

Sprowadzajmy w tym celu przez fabryki nawozów na ten cel polecone „5 kilowe próbki nawozu sztucznego“, jakie najpierw w użycie wprowadziło biuro sprzedaży mączki fosfatowej czeskich hut Thomasa w Pradze, a które wystarczą na 9 metrów kwadratowych łąki lub pola **).

Należy otrzymaną na próbkę mączkę fosfatową celem osiągnięcia zupełnej skuteczności nie tylko na polu gdzie się próbę wykonuje, wysypać ale i dokładnie z rolą wymięszać. Stanie się to najlepiej broną lub ekstyrpatorem. Szmat ziemi 9 metr. kwadratowych czyli 5 kroków wzdłuż i 5 wszerz łatwo oddzielić i na tej przestrzeni należy nawóz kilka dni przed zasiewem umieścić.

Przekonamy się, że na tej przestrzeni zboże lub inne płody roślinne, a więc i rosnące na łąkach i pastwiskach (gdzie najłatwiej rozsypać nawóz najlepiej za pomocą żelaznych grabli) o wiele lepiej się rozwiną jak na polu gdzie nawozu stucznego nie było. W każdym z dotychczas nam znanych wypadków przekonaliśmy się, że wydatek pola nawiezionego mączką fosfatową zaraz w pierwszym roku jest przynajmniej o ⅓ większy jak na polu nie nawiezionym. Stąd dowodnie wykazuje nam przykład nie tylko, że roli brak właśnie kwasu fosforowego ale też, że wydatek na sztuczny nawóz przez znacznie większy plon już w pierwszym roku pokrytym bywa. Ale i w drugim i trzecim roku żniwo będzie wydatniejszem, bo doświadczenie nas pouczyło, że dopiero po takim czasie zużywa się kwas fosforowy mączki Thomasa i dopiero potem potrzeba nowej dawki tego najbardziej rozpowszechnionego środka nawozowego.

Bez wątpienia tedy myślący rolnik wysnuje z tej pomyślnej próby używania nawozu sztucznego jedynie możliwy wniosek, że jego rola potrzebuje sztucznego nawozu i że nietylko na tym małym kawałku roli, ale na całym kompleksie pól, łąk, pastwisk itd. osiągnie taki sam wynik, jak na małej przestrzeni, którą nawiózł mączką fosfatową.

*) Niech rolnik nigdy nie kupuje bez tego potwierdzenia urzędowego istotnej zawartości n. p. kwasu fosforowego potasu itd. a zwłaszcze kwasu fosforowego, który się w roli nie rozpuszcza jak n. p. mączki kościanej albo mineralnych fosfatów, które w formie kamieni z Florydy itd. do nas przywożą i używają do wyrobu mineralnych lub innych superfosfatów.

) Żądać należy kartą korespondencyjną **bezpłatnego i frankowanego nadesłania 5 kilowej próbki nawozu od kierownika rolniczo-chemicznego działu biura sprzedaży mączki fosfatowej czeskich hut Thomasa w Pradze, plac Wacława 55, który również na wszelkie pytania najchętniej odwrotnie radą służy.

Lwów 4 lipca. (Z Izby handlowej).

Akcye za sztukę: Kolej gal. Karola Ludwika 200 zł. m. k. 210.50 do 213.50. Kolej Lwowsko-Czern.-Jassk. po 200 zł. w. a. 291 00 do 294.00. Banku hypotecznego po 200 zł. w. a. 377.— do 387.—. Akcye garbarni w Rzeszowie po 200 zł. w. a. 200.— do 210.—. Tow. budowy wagonów w Sanoku 256 — do 260 —.

Listy zastawne za 100 zł.: Banku hipot. galic. 5 proc. los. w 40 lat z 10 proc. prem. 110.30 do 111.— 4 i pół proc. los. w 50 lat 100.30 do 101.00, 4 proc. los w 60 lat 96.50 do 97·20. Banku kraj. 4 i pół proc. los. w 51 lat. 101.00 do 101.70, Banku kraj. 4 proc. los. w 57 lat 98.00 do 98.70, Tow. kred. gal. ziemskie 4 proc. (I emisya) 97 50 do 98 20, 4 proc. los. w 41 i pół latach 97.70 do 98 40, 4 proc. los. w 56 lat 96.40 do 97.10.

Obligi za 100 zł.. Gal. fund. propinacyjnego 4 proc. 98·40—99.10, Bukowińskiego fund. propin. 5 proc. 102 50 do —.—, Kom. Banku kraj. 5 proc. (II emisyi) 102.00 do 000·— Kolejowe lokalne Banku krajowego 4 procentowe po 200 koron 97.50 do —.—, Pożyczki kraj. 6 proc. 103 00 do.—,—. 4 proc. z 1893 r. 93.00 do 93.70, 4 proc. po 2 koron z 1893 roku 96 30 do 97 00.

Monety. Dukat cesarski 5.61 do 5.71. Napoleondor 9.49 do 9.59. Półimperyał 9.47 do 9.57. Rubel rosyjski papierowy 126 50 do 127·50. 100 marek niemieckich 58.50 do 59.00.

21)

O własnych siłach

POWIEŚĆ

przez

D. GERARD.

Tłomaczyła z angielskiego Zofia baronowa Hartingh.

(Ciąg dalszy).

Odpowiedzi przez długi czas nie było, a gdy nadeszła, list miał na sobie stempel jakiejś bawarskiej miejscowości w górach, gdzie sir Andrzej od kilku tygodni polował na dzikie kozy i gdzie mu list przesłano z Anglii. Z koperty wypadł banknot na tysiąc reńskich, któremu towarzyszyło tylko kilka słów, skreślonych w pośpiechu.

„Dlaczegoż nie miałabyś kupić odrazu dwunastu krów, pisał do niej. Z czterema nic nie zrobisz. Co się tyczy procentu, to nie mogłaś chyba pytać o to na seryo? W każdym razie nie mam czasu rozpisywać się o tem teraz, bo spieszę na polowanie“.

Elwira podniosła z ziemi banknot, który wysunął się z jej rąk i włożywszy go w świeżą kopertę, odpisała bez namysłu:

„Nie zarzucę panu powtórnie chęci ubliżenia mi, ale z tem wszystkiem popełniłeś pan błąd. Nie spełniłeś mojej prośby. Prosiłam o pożyczkę trzechset reńskich, a nie o darowiznę tysiąca; bo jakkolwiek nie jestem na tyle ograniczoną, abym nie zrozumiała, dlaczego wymawiasz się pan brakiem czasu do przedyskutowania kwestyi procentu. Zwracam panu całą sumę; to go przekona, że mówiłam zupełnie seryo. Nie przysyłaj mi pan więcej pieniędzy, bobym ich nie przyjęła. Musiałam stracić głowę, kiedy poniżyłam się do proszenia o pomoc; teraz odzyskałam zmysły i czuję się już na siłach walczyć sama o byt“.

Wysławszy ten list Elwira uczuła, że wielki ciężar spadł jej z piersi.

Wdzięczną była sir Andrzejowi, że jej dostarczył pretekstu do zwrócenia mu pieniędzy. Mogła oddychać swobodniej i odzyskać szacunek dla siebie samej.

Upłynął cały tydzień, a z Bawaryi nie nadeszły żadne wiadomości. Sir Nevyll snać przyjął jej decyzyę.

Narazie obcy gość zjawił się niespodziewanie w Glockenau.

ROZDZIAŁ X.

Był już początek września, a choć kilka tygodni zaledwie upłynęło od powodzi, ślady klęski zostały częściowo usunięte. Zbiory wprawdzie były zniszczone, inwentarz potopiony, drzewa przerzedzone w sadach, ale choć ubóstwo zamieszkało w niejednej dostatniej przedtem chacie, jednak wioska przybrała dawny swój zewnętrzny wygląd. Nowo powstawiane szyby i naprawione parkany zakrywały przed okiem wilgoć ścian i niedostatek domowy. Rzeka też dawno ochłonęła z chwilowego szału i przepasana nowym mostem, płynęła spokojna i niewinna u stóp nowej, jaskrawo pomalowanej Bożej męki, jakby nigdy gniewne jej fale nie pochłonęły tyle dobytku i tez ludzkich.

Pewnego pogodnego wieczoru Elwira szła do wiejskiego sklepiku, gdzie miała robić jakieś sprawunki, gdy naraz usłyszała turkot rozklekotanego dyliżansu, który stanowił jedyną łączność pomiędzy Glockenau a resztą świata. Zdziwiła się nieco, ujrzawszy przez okna starego wehikułu parę ramion męskich, odzianych w popielaty podróżny płaszcz, tył jakiejś głowy i wystający obok niej kij alpejski.

Turyści rzadko kiedy zjawiali się w Glockenau, a ten podróżny, jakkolwiek ujrzany przelotnie, miał w całej swojej postaci, w sposobie noszenia głowy i ubrania, coś, co go odróżniało od wszystkich Leopoldów i Augustów okolicznych.

Załatwiwszy swoje sprawunki, wracała do domu, kiedy naraz szybkie kroki odezwały się tuż za nią. Zapomniała już o dyliżansie i o nieznanym podróżnym, gdy na odgłos tego chodu instynktownie zestawiła go w myśli z zagadkowym właścicielem wykwintnego popielatego płaszcza, tak jeden bowiem, jak drugi niepodobny był do mieszkańców Glockenau. W tejże chwili wysoki, silnie zbudowany mężczyzna minął ją na gościńcu, wywijając w ręku laską i rozglądając się dokoła, jakby czegoś szukał. Zaczepił po drodze małego chłopaka, bawiącego się kasztanami w piasku, a ten zagadnięty przez niego wskazał jak się wydało Elwirze, w stronę Marienhofu. Podziękowawszy malcowi, poszedł w tym kierunku, a gdy Elwira mijała go, spojrzał na nią, uchylił grzecznie kapelusza i łamanym niemieckim akcentem zauważył, że wieczór był piękny. Elwira przyznała słuszność tej uwadze i czas jakiś szli w milczeniu obok siebie, przedzieleni wstęgą gościńca.

Panna Eldringen nie umiała sobie zgoła wytłómaczyć jego obecności w wiosce. Zaczęła przypuszczać, że musiał to być artysta-malarz, który zabłądził aż tutaj w celu zbierania górskich widoków.

Narazie nieznajomy zagadnął ją:

— Zdaje mi się, że idziemy w jedną stronę — rzekł, przechodząc przez drogę. — Czy nie mógłbym pomódz panience nieść tę paczkę?

— Dziękuję panu. Wolę ją nieść sama — odparła nieco zdziwiona, bo rzadcy przejezdni goście, którzy się tutaj zjawiali, nie zwykli byli z taką wyszukaną grzecznością przemawiać do chłopek.

Teraz dopiero zauważyła, że nieznajomy był człowiekiem nie pierwszej już młodości, że miał imponującą postawę i szlachetne piękne rysy. Jego krótko strzyżona ciemno blond spiczasta bródka odbijała od czarnych brwi. Oczy, które zwrócił na swoją towarzyszkę, były ciemno-piwne.

— Nie wiem, jak się to dzieje, że lepiej rozumiem panienkę, niż tych wszystkich, do których zwracałem się tutaj — rzekł. — A jednak, sądząc po stroju, należysz pani do Glockenau.

— Tak — odparła — należę do Glockenau, a przynajmniej nie należę do żadnej innej miejscowości.

Doszli do drewnianego parkanu, który zastępował chwilowo zniszczony mur Marienhofu.

— Dobra noc — rzekła Elwira z lekkiem skinieniem głowy, skręcając na ścieżkę.

— Jeszcze nie — odparł. — Widocznie drogi nasze nie rozchodzą się tak prędko.

Stanąwszy u furtki, chciała go znowu pożegnać, ale domniemany artysta, który, jak się jej zdawało, kierował się ku plebanii, rozejrzawszy się dokoła, zawołał:

— Wszakże to jest Marienhof?

— Tak, rzeczywiście.

— Więc panienka tam idziesz, zarówno jak ja?

— Jak pan? Pan idziesz do Marienhofu? A cóż tam pana sprowadza; radabym bardzo wiedzieć?

— Prawdopodobnie to samo, co panią. Idę z wizytą.

— Ja nie idę z wizytą. Ja tam mieszkam.

— Mieszkasz tam pani? Więc musisz znać hrabiankę Eldringen? Więc ją znasz? A może... Wielki Boże! — wybuchnął po angielsku — jakiż ja idyota jestem! Toż ty jesteś Elwira... naturalnie, że tak... moja kuzynka Elwira... To ten strój wprowadził mnie w błąd. Nie pisałaś mi nic o tem, żeś się przebrała za wieśniaczkę, kuzynko — dokończył, wyciągając do niej rękę z uśmiechem, który jak słońce rozjaśnił w jednej chwili jego oblicze.

Elwira cofnęła się na razie, wahając się wziąć jego dłoń.

— Nie rozumiem... — szepnęła także po angielsku. — Więc pan byłbyś...

— Jestem Nevyll — roześmiał się szczerze. — Czemuż patrzysz na mnie, jak gdybym był widmem z tamtego świata?

— Bo wydaje mi się to niepodobnem... boś mi pan nigdy nie donosił...

— Czego ci nie donosiłem?

— Że jesteś... że... chciałam powiedzieć, że byłam pewna, iż jesteś starym człowiekiem.

Sir Andrzej oparł głowę o drzwi i wybuchnął tak głośnym, szczerym śmiechem, że wesołość jego udzieliła się Elwirze, która roześmiała się także. Ale nagle przerwał i rzekł zmienionym głosem, jakby tłumiąc westchnienie smutku.

— Bo też jestem starym, kuzyneczko, o wiele starszym, niż sobie wyobrażasz.

Elwira ochłonęła już od tej pory z pierwszego zdziwienia.

— Więc naprawdę... naprawdę jesteś pan moim kuzynem Andrzejem? — zawołała radośnie. — Nie umiem wypowiedzieć, jaka rada jestem, że mam kuzyna; to prawie na jedno wychodzi, co mieć brata. Wejdź, proszę do domu; wszakże zjesz ze mną wieczerzę? Nie mogę wprawdzie poczęstować cię niczem innem, jak pieczonemi kartoflami i mlekiem, ale i w zajeździe nie znalazłbyś nic lepszego.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Redaktor odpowiedzialny: Wacław Masłowski. Papier z fabryki Fijałkowskich w Białej. Drukarnia nar. St. Maniecki i Spółka hotel Zorża Zarządca W. Hodak.